



189.
ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 389

CHEŁMECKI



WSPOMNIENIE RARANCZY

P. OBAL

1933

Ładeusz Chełmecki

Wspomnienie

Rarańczy

(Gawędy harcerskie osnute na tle życia legionowego)

II-giej Żelaznej Brygady.



Czysty zysk przeznaczony na zakup namiotu i ekwipunku dla męskiej drużyny harcerskiej Szkoły pow. im. Króla Jana Sobieskiego w Gniewie.

*Nakładem Kola Przyjaciół Harcerstwa w Gniewie.
Gniew 1933.*

Wspomnienie Rarańczy.

Rarańcza, czyn wielki, krwawy szaleńczy, owiany tajemniczością ponurej nocy zimowej, rozświetlonej błyskiem wybucha-
jących granatów bojowych i szczekotem maszynowych karabinów.

Marsz długi, przeciągły, pospieszny marsz i ukoronowanie
jego, to zamiana kilku słów z przeciwnikiem, strzały, śmierć,
jęki rannych i dogorywujących.

Huk i świst pocisków artylerji austriackiej.

Masą szli, nie było jednego, któryby się zawahał. Tyle
nocy spędzonych przy ogniskach obozowych prześnili i prze-
gwarzyli o tej chwili, w której danem im będzie zmierzyć się ze
śmiertelnym ich wrogiem i wreszcie doczekali się tej chwili.

Podał ją wróg sam przez zdradę swoją niecną.

Poszli, przed nimi zwarte szeregi armji austriackiej, czeka-
jące na chwilę ich przybycia, liczące na to, że walka z nimi,
utrudzonymi odbyciem trzydziestokilometrowego marszu, będzie
lekka i zwycięska, a oni, błyskawicą runęli na przeciwników,
zmieśczeni, siłą uderzenia zgnetli, rozbili i ruszyli wprost przed
siebie, na los niepewny, na nowe walki, życie tułacze, z wysoko
wzniesionym sztandarem Wolności Polski.

Poszli, - II-ga Żelazna Brygada Legionów Polskich poszła
nowym szlakiem, jako pochodnia wzniecająca wszędzie zarzewie
walki i czynu, ogarniająca płomieniem wszystkie serca polskie,
podniecając je do buntu, do nieustępliwej wojny o Polskę, o
wolność naszą.

Zerwali wszystko za sobą, wypowiadając i zaczynając
wojnę równocześnie ze wszystkimi naszymi wrogami w imię
i dla Wolności Polski.

Zwyciężyli, ten pierwszy zwycięski bój pod Rarańczą dał
im moc wiary w przyszłość i możność oglądania na swoje własne
oczy rozbłysłej Jutrzenki Wolności, przed którą pochyłili swe
czoła i poszli dalej krwawo wyrąbywać granice Polski, krwią
swoją i trupami wytyczać przyszłe linje graniczne, ku chwale,
pożytkowi i spokojowi przyszłych pokoleń.

A nad nimi królował i wiódł ich do boju zwycięski, mo-
cerny i nieogarnięty w swej mocy duch zakutego w więzieniu
magdeburgkiem Brygadiera Piłsudskiego.

Rarańcza !!!

Czy wiecie harcerze co to jest Rarańcza, czem był i jest
ten czyn, bunt i zwycięstwo?

Sławimy wszyscy bohaterstwo Japończyków, gdy kilku
z nich lub kilkunastu idzie na pewną nierzal śmierć dla swojej

ojczyzny, podziwiamy niejednokrotnie ich wywiadowców, którzy jako handlarze drobni rozchodzą się po całym świecie, uczymy się w historii o pięknych czynach poszczególnych bohaterów ginących w imię umiłowanych przez siebie haseł, czy też imponują nam czyny dawnych rycerzy, rzucających w twarz przeciwnikom swoim rękawicę wyzwania.

Sławimy te czyny, czczymy nazwiska bohaterów, wzorujemy się na umiłowaniu przez nich ojczyzny swojej, czy też honoru żołnierskiego, lub innych szlachetnych pobudek czy ideałów.

Jakżesz cześć winniśmy czyn zbiorowy kilku tysięcy żołnierzy?

Ten żołnierz szary na wojnie, w dzisiejszych warunkach ciągłego ryzyka swojego życia, niewygód głodu, zimna i niewyspania żyje tylko chwilą odpoczynku, możliwością choćby chwilowego powrotu na łono swojej rodziny, tem przeświadczeniem, że jest ktoś, kto go duchowo wspiera.

Po wyczerpaniu nerwowem w bitwie, oddaje się beztroskiej wesołości, wiedząc, że jest ktoś, kto dba o jego potrzeby codzienne i wesołość ta daje mu zupełny odczynek i możność opanowania nerwów przed bitwą następną.

Przebicciem się pod Rarańczą kilka tysięcy żołnierzy Żelaznej Brygady rzuciło jednocześnie rękawicę wyzwania Niemcom i Austriakom, przekreślając całą swoją przeszłość wspólnie odbytych z nimi walk i wyzywając ich na zapasy wojenne.

Zrzekli się łączności z rodzinami swemi, zrzekli się tych minimalnych a także koniecznych, szczególnie na wojnie, potrzeb życia codziennego i poszli na tułaczkę, głód, nędzę, chłód i niepewne jutro w imię i za Wolność Polski.

Otoczeni zewsząd przez wiedzących o zamiarze ich przejścia Austriaków, rzucili się w bój, w polocie swych wielkich myśli i dążeń niewstrzymani i zwyciężyli, przechodząc po trupach swych wrogów.

Jakżesz silne uczucie miłości Polski, musiało władać każdym poszczególnym żołnierzem, gdy wszyscy jak jeden mąż utorowali sobie drogę bagnetami, podnosząc tak butnie i tak twardo dzierżąc nasz sztandar Niepodległości, jak twardem i butnem było ich życie żołnierskie w Żelaznej spędzone Brygadzie.

Rarańcza! — to nie jest spotykane w historii przejście kilku czy kilkunastu tysięcy żołnierzy na stronę nieprzyjaciela, złudzonych obietnicami wyższego żołdu czy przywilejów, lecz jest to rzucenie wszelkich dotychczas otrzymywanych zaopatrzeń, rzucenie lepszych warunków bytu, po to, aby o głodzie i bez zaopatrzenia móc walczyć w imię umiłowanych haseł, w imię wielkiej idei.

Kilka tysięcy żołnierzy tchnących jedną myślą, jednym dążeniem, jednym zamachem zrywających pęta niewoli i w razie

klęski i nieudania czynu, podpisujących na siebie czynem swoim, masowe wyroki śmierci.

Butni i dumni, z pieśnią na ustach poszli, opór zrużgotali, zmiażdżyli i przeszli na drugą stronę, niepewni, czy w każdej chwili nie wypadnie im walka ze starym nieprzyjacielem. Nie szli przecież do niego jako sprzymierzeńcy, lecz jako żołnierze do niedawna wrodzy a obecnie idący walczyć o prawa i postulaty swojej ojczyzny.

Czynem swoim rozslawili Polskę na świat cały, stwierdzając, że żadna siła, żaden wróg nie zmożą w nas ducha wolności, nie zastraszą przewagą liczebną a każdy, kto w uzyskaniu Niepodległości naszej zechce nam stawiać przeszkody, spotka się z walką i śmiercią.

Piękny czyn a jakżeż pięknoscią swoją groźny, hukiem pękających granatów przeraźliwy i czarnością nocy zimowej tajemniczy.

Złożenie na ołtarzu wolności ojczyzny wszystkiego, co tylko żołnierz mógł złożyć.

Szły z nimi duchy rycerskie naszych przodków a oni krwią swoją i bagnetami podejmowali z powrotem dawną sławę i postrach oręża polskiego.

Na dawnych szlakach przesławnych bojów i zwycięstw Polaków, z kurzawy i zawieruchy wojennej, z ciemnej rozpacznej nocy, wyłonili się, równym, pewnym i twardym krokiem żołnierskim postępujący ku nowej przyszłości, otoczeni aureolą przebytej gehenny i dokonanego czynu poświęcenia.

Zalśniły w słońcu błyszczące bagnety, amarantem poczerwieniały skrwawione na ranach bandaże i poszarpane kulami mundury, targnął powietrzem Hymn Narodowy, odbijając się tysiąckrotnem echem w sercach wszystkich Polaków i podrywając wszystkich do boju.

Żelazna Brygada Legjonów Polskich przestała istnieć, przekształcając się w armję polską, Rarańczą zamykając przesławne swe dzieje bojowe i wstępując obecnie w nowe walki, boje i zwycięstwa jako niezależna i niesprzymierzona z żadnym z zaborców, armja polska.

Rozrzucił ich los po całym niemal świecie, byli we wszystkich oddziałach polskich, wszędzie pozostawili ślady swej krwi przelanej, szafowanej tak hojnie. Francja, Murman, Don, Syberja, Chiny, Turcja, Japonja, więzienia, obozy austriackie i niemieckie, wszędzie byli. Bezustanna tułaczka i walki.

Rozstrzeliwali ich, pastwiąc się nad pojedynczymi bolszewiczy, wieszali ich Niemcy czy Austriacy, obietnicami wyzyskiwali inni, a oni szli uparcie i nieugięcie do celu, do Niepodległości z nigdy niezagasłym uczuciem miłości Ojczyzny.

Przebyli wszystkie więzienia, szpitale, choroby, obozy i zdrady a żadna męka i żadna śmierć w katuszach nie potrafiły im wyrwać wiary w świętość i wielkość umiłowanej idei i żaden z katów, ani też pastwiących się nad nimi wrogów, nie dojrzał w ich oczach strachu przed śmiercią, ani też nie im nie potrafiło wyrwać ich humoru żołnierskiego, czy też tego przeświadczenia, że śmierć czy męka każdego z nich, Polsce jest widać potrzebną.

W morzu bolszewickiem, w mordach, rabunkach, w zezwierzęceniu ludzkich potworów, śnili o armji polskiej, karnej, sprawnej i dzielnej, tworząc ją nieustannie na każdym kroku i do każdego oddziału wnosząc ducha zapału i poświęcenia. Przez morze ognia, rewolucji, krwi i pożogi, przeszli czyści i nietknięci, nieskażeni żadnym podmuchem korupcji, mordu, czy grabieży, w intrygach, knowaniach i szalejącej soldateski niemieckiej doczekali się tego momentu, w którym otwartym bojem odpowiedzieli za wszystkie Polsce wyrządzone krzywdy.

I doszli! Poprzez boje karpackie, poprzez głód, nędzę, wszy, rany, śmierć i kalectwa, poprzez wołyńskie bitwy prześlawnie, Bukowinę, Rokitnę, Rarańczę, Sybir, Murman, Don, więzienia, szubienice, szpitale zakaźne, żakuci nieraz w nienawistne im mundury, doszli do celu, zobaczyli na własne oczy powstającą z więzów ojczyznę, tropieni, gnębieni i prześladowani, powstałi nanowo, stokrotnie pomnożeni przez sławę swych czynów wojennych, zwarli się znowu w szeregi, z bagnetami na karabinach, z granatami w ręku runęli na wrogów, niosąc śmierć, zniszczenie i klęski, a Polsce, sławę, zwycięstwo i pokój dla pracy odrodzenia.

Zwyciężyli, osiągnęli swój cel i długo jeszcze i wiecznie w historii wojen naszych brzmieć będą nazwy bitw ich zwycięskich, sława oręża polskiego i przyszłe pokolenia biorące na siebie ciężar utrzymania przekazanej im, a tak krwawo zdobytej Niepodległości, rozpamiętywać będą ich czyny, ich mękę i ich poświęcenie.

Groby ich i krzyże rozrzucone po całym świecie, będą wezwaniem dla wszystkich do wyczerpanej pracy nad utrzymaniem i utrwaleniem tego, co oni nam przekazali, a sława ich bojowa i czyny wojenne, długo jeszcze będą przykładem dla młodego żołnierza Polski, długo jeszcze będą brzmieć opowiadania o tem „jak były się Legjony“ i o tem, że kto chce kochać Ojczyznę, musi na jej ołtarzu złożyć wszystko i całego siebie w ofierze, tak jak to robili ci, którzy za przykład teraz służą, w „szarych mundurach polscy legjoniści.“

W szpitalu.

Do szpitala austriackiego t. zw. K. u K. Rezerweshpital Nr. 2 w Przemyśle, przyprowadziło legionistę dwóch austriackich żołnierzy, oddając go z ogromną ulgą i westchnieniem w ręce władz szpitalnych, jakby im conajmniej kamień młyński spadł z serca. Po otrzymaniu pokwitowania, zdjęli bagnety z karabinów, rozładowali je i oddalili się z powrotem dumni z siebie, że takiego nieladajakiego czynu dokonali, boć przyprowadzenie w tych czasach t. j. z wiosną 1918 r. legionisty polskiego przez żołnierzy austriackich czy innych, tam, dokąd w myśl rozkazu doprowadzić go miano, było, rzeczą dość trudną. W konwojowaniu legionisty rozchodziło się konwojującym nietylko o niebezpieczeństwo życia, gdyż legioniści żadnej przecież broni przy sobie nie mieli, a tembardziej ci, których prowadzono z obozów internowanych, lub więzień, ile o tą niedającą się z niczem porównać nieuchwytność, w której celowali, i dzięki której, zdawali wpoić wreszcie we wszystkich to przekonanie, że o tyle dadzą się prowadzić do miejsca przeznaczenia, o ile to im samym przypada do gustu. Poza tem utarło się już to przeświadczenie, że żaden zamek ani też warty, czy konwoje, nie przeszkadzają legionistom w ucieczce.

Legionistę naszego wzięto tymczasem odrazu w obroty austriackich formalności.

A więc przedewszystkiem protokołowanie skąd przyszedł, kiedy się urodził, kto go rodził, kiedy, w jakiej miejscowości, kraju i okolicy, czem jest w cywilu, czy pomimo tego, że jest absolwentem gimnazjalnym umie czytać i pisać, czy wie o tem, że mu nie wolno uciekać ze szpitala i co mu za to grozi, dalej podpisanie, że zgadza się w razie ucieczki na rozstrzelanie go bez sądu, że wydalenie się jego na 24 godzin poza rejon szpitala bez zezwolenia, również podlega karze śmierci, że nie będzie innych żołnierzy cesarsko-królewskiej armii buntował, że się będzie zachowywał przyzwoicie i t. d. i t. d. Poza tem nastąpił spis posiadanych przez niego rzeczy skarbowych. Pomimo tego, że legionista nie posiadał nic austriackiego, jednak wszelkie formularze zostały kreskami wypełnione.

Po tej operacji, która trwała mniejwięcej przeszło dwie godziny, nastąpiło 3-godzinne oczekiwanie, a następnie t. zw. „odwshenie“, a więc ostrzyżenie głowy i całego ciała, kąpiel, dokładne szorowanie i znowu dwugodzinne oczekiwanie w stroju adamowym na ubranie i bieliznę, które w międzyczasie powędrowały do dezynfektora. Wszelkie przedmioty skórzane, żelazne i t. p. legionista przez cały czas wyczekiwania trzymał w rękach, lecz tem nie mógł niestety ani w małej części przy-

kryć swojej nagości, aby się udać na poszukiwanie czegokolwiek do zjedzenia. Ile westchnień, przekleństw i gromów wysłał on w międzyczasie pod adresem Austrii i jej najjaśniejszego cesarza, tego żaden umysł ludzki nie zdążyłby policzyć. O tem, żeby mu dać jeść, nikt naturalnie nie myślał.

Nareszcie zaprowadził go jakiś ordynans szpitalny na salę żołnierską i oddał w ręce siostry cywilnej, ubranej skromnie, lecz gustownie i czysto, o ładnej okrągłutkiej, twarzyczce, szarych oczach, blond włosach, wzrostu średniego, zbudowanej bardzo dobrze, lecz przy tem wszystkiem starającej się zatracić swoje miękkie ruchy kobiece, czyniąc je stosownie do otoczenia, ruchami szorstkimi, sztucznie żołnierskimi, z czem wcale nie było jej do twarzy.

Siostra nie patrząc na legionistę ogromnie zaaferowana i ciągle się spiesząca, przyzwyczajona, że z „K. u. K. Infanterie-regiment Nr. 9.“ t. j. z pułku, z którego legionistę przyprowadzono, przychodzą sami Rusini, zapytała go po rusku chcąc odrazu powciągać wszystkie dane od daty urodzenia aż do daty projektowanej na przyszłość śmierci, do przygotowanych w tym celu arkuszy.

— A wy zwidki? - ¹⁾

— Nem tudu madjaru.- odpowiedział legionista. ²⁾

— Madjar? zapytała siostra. ³⁾

— Deutsch verstehe ich nicht. - odparł. ⁴⁾

— Sind sie ein Deutscher? ⁵⁾ - pytała coraz szybciej, coraz bardziej zdenerwowana siostra.

— Nu szti rumeneszti. ⁶⁾ -

— Szti rumeneszti. ⁷⁾ - zapytała. -

— „Ne“ česki nie rozumim. ⁸⁾ -

— Vyjste Čech? ⁹⁾

— Niczewo nie pomimaju. ¹⁰⁾ -

— O Jezus Marja! - krzyknęła całkiem już zrozpaczona siostra. Znowu mi przyprowadzili jakiegoś warjata, zamiast do szpitala warjatów, to go tu idjoci przytransportowali na oddział płucny i co ja z nim teraz zrobić? - i przekonana, że ma do czynienia z kompletnym idjotą zwróciła się znowu do legionisty, wygrażając mu równocześnie obydwoma pięściami:

1) A pan skąd? —

2) Nie umię po węgiersku.

3) Węgier?

4) Nie rozumię po niemiecku.

5) Czy jest pan Niemcem? —

6) Po rumuński nie umię. —

7) Umie pan po rumuńsku?

8) Nie, po czesku nie rozumię. —

9) Czy pan Czech? —

10) Nic wogóle nie rozumię. —

— Czy ty wreszcie, bydlę skończone, wiesz sam kim ty jesteś i po co tu przyszedłeś? - Legionista uklonił się szarmancko i odrzekł:

— Przyprawdzili mnie tu jako bydlę, to racja, ale mimo to siostrzyczka pozwoli się przedstawić: „Jestem legionista Rukowski,“ - rzekł całując jej przy tem podaną mu, od ruchowo przez zdumioną siostrę, rękę.

— Panie, panie, czy pan znowu nie kłamie? Więc jest pan Polakiem? -

— Tak Polakiem i legionistą w dodatku. -

— To i czegoż mi pan różnemi językami zawracał głowę i niepotrzebnie zabrał tyle czasu, kiedy mi się tak strasznie spieszy. -

— Proszę siostry, jeżeli się ktoś tak mało orjentuje jak siostra i w dodatku patrząc na mnie odzywa się po rusku, to przecież za to trzeba mu trochę krwi napsuć. -

— No już dobrze, dobrze-odparła siostra-później gdy będę miała chwilę wolnego czasu to sobie pomówimy, wyznaczę panu łóżko. powiem co pan ma robić a teraz tylko spiszę personalja i niech pan na mnie chwilę poczeka. -

— Rozkaz, będę czekał na siostrę tu na sali, dokąd siostrzyczka każe, chociaż przyznam się, że jestem głodny jak cholera. -

Siostra wyszła, legionista usiadł sobie najspokojniej na stole, nogi oparł na krześle i zapalił papierosa. Na sali dużej mieszczącej około 40 chorych, smutnej i ponurej nietylko może samem położeniem ile nudą i minami ponurych, wiecznie głodnych i z podelba patrzących żołnierzy austriackich, zapanowało ogromne poruszenie. Wszyscy ci pacjenci gotowi byli do największych upodzeń, gotowi do wszystkiego, aby tylko jaknajdłużej móc pozostać w szpitalu, aby nie odechodzić stąd na front; poruszali się jak cienie, udawali stokroć bardziej chorych niż nimi w rzeczywistości byli, każde życzenie sióstr czy kogokolwiek ze szpitala w lot wykonywali, aby tylko nie popaść w nielaskę. Żaden z nich już chyba nie pamiętał o tem jak się człowiek śmieje; patrzyli na siebie nieufnie w obawie denuncjacji kolegi, że sąsiad jest mniej lub więcej zdrowy.

Na sali nie wolno było palić, więc też odrazu na widok zapalonego papierosa, wszyscy obecni zwrócili się do legionisty, tłumacząc mu we wszystkich możliwych językach państwa austriackiego zakaz palenia.

Na tłumaczenie legionista wzruszył tylko ramionami, lecz gdy zbliżyło się do niego kilku widocznie największych lizusów z pogróżkami, nie zmieniając zupełnie pozycji, uchwycił stojące obok stołu drugie krzesło, warcząc:

Poszli won! Za to co robię ja odpowiadam, a nie wy przekłete trepy,¹⁾ a nie, to krzesłem! — odstąpili od niego.

W tym momencie weszła starsza siostra, dwudziestokilkuletnia przystojna brunetka, nie tyle coprawda z obowiązku, ile z ciekawości, ponieważ już zdążyła się dowiedzieć, że do szpitala przyszedł legionista. Na widok zapalonego papierosa, czyli tak strasznej niesubordynacji, oburzenie odjęło jej mowę. Podeszła szybkim krokiem do legionisty i ochłonawszy nieco zaczęła:

— Dlaczego pan nie wstaje, gdy ja wchodzę? —

— No, bo siedzę. — odparł legionista.

— Czy pan wie, że ja tu jestem najstarszą? —

Legionista zmierzył ją od stóp do głowy i jeszcze raz z powrotem znów zlustrował, poczem zapytał z zupełnym spokojem: Czy pod względem wieku? Hm . . . nie powiedziałbym.

— Nie pod względem wieku, lecz pod względem rangi, rozumie pan? odparła zlekka zaczerwieniona.

— Owszem rozumię, ale ja zasadniczo przed żadną austriacką rangą nie wstaję.

Przed plecią piękną nie tylko wstaję, lecz i klękam o ile nie przybiera się ona w austriackie rangi, lecz w swój własny wdzięk. —

Siostra poczerwieniała mocniej, wyciągnęła rękę ku legionście mówiąc: — Nowakowska jestem. —

Legionista zrywając się ze stołu, przewrócił dwa krzesła.

— Dlaczego pan pali? —

— Ponieważ jestem pałacy.

— Przecież są wszędzie na sali powywieszane napisy, że palić nie wolno. —

— Cóż z tego kiedy ja nie umię czytać po niemiecku. —

— Więc ja panu obecnie tłumaczę. —

— To mało proszę siostry, bo te wszystkie rozporządzenia ustne, pisemne, czy też powywieszane, odnoszą się do żołnierzy austriackich, a ja nim przecież nie jestem, nie byłem i jak Bóg na niebie nigdy nie będę. —

— No, ale kiedy Pan tu już wszedł . . .

— Ja tu wcale nie wszedłem, — nie dał jej dokończyć — tylko mnie przyprowadzili, a to zmienia postać rzeczy. —

— A jeżeli mnie pan przez to narazi na nieprzyjemność, bo inni widząc, że pan pali, też znaczną palić? Co mi wtedy powie inspekcja, gdy na sali będzie nadymione? — Niech pan wyrzuci tego papierosa. —

— Nie mogę wyrzucić siostro, przecież to jest kupiony

1) Pogardliwe określenie żołnierzy austriackich przez legionistów.

papieros, a nie fasowany, my przecież teraz jako legioniści nie dostajemy, więc skąd wezmą drugiego?

— No to dam panu za tego papierosa dwa, zgoda? Ale niech pan zaraz wyrzuci. —

— Nie nabiera mnie aby siostra? —

— Zobaczysz pan, że zaraz je panu przyniosę. —

— No to zgoda. — zgasił papierosa, chowając niedopalek do kieszeni

Siostra wyszła i po chwili przyniosła mu 5 papierosów. Legionista nadzwyczaj szarmancko podziękował i chowając 4 papierosy do kieszeni, piątego włożył do ust w świętym zamiarze zapalenia. —

— Co pan robi? — krzyknęła siostra.

— Chcę zapalić papierosa. — odparł.

— Jakto, przecież mi pan obiecał, że palić na sali nie będzie. —

— Nie, tego nie obiecywałem, powiedziałem tylko, że tego papierosa zgaszę, którego wówczas paliłem i tego dotrzymałem święcie. Siostrzyczko droga takich dobrych papierosów jak te, które w tej chwili dostałem, nie paliłem dawno, a za jednego zapalonego na sali, dostanę 5. Za dobry interes, abym go mógł rzucić, tembardziej, że papierosów nie mam. —

— Ile pan pali dziennie? —

— 20 sztuk proszę siostry. —

— Więc codzień przyniosę panu dwadzieścia papierosów, ale pod warunkiem, że nie będzie pan palił na sali. Zgoda?

— Siostrzyczko, nie tylko tysiącokroć się zgadzam, lecz i obiecuję, że gdyby siostra chciała się kiedy przejechać konno na grzbiecie któregośkolwiek z tych trepów ku uciechu i wielkiej alteracji całego szpitala, z równoczesnem śpiewaniem przez za-improwizowanego konia hymnu austriackiego, z wielkiem przejęciem i ogromnym patryotyzmem, każdego podstawię. Propozycję tę czynię dlatego, aby zapewnić siostrę, że dyscyplina tutaj po moim przyjściu absolutnie się nie rozluźni. —

Rozeszli się w największej zgodzie.

Z komendantem sali, jakimś plutonowym narodowości rumuńskiej, legionista miał krótką pogawędkę; obiecał mu za posłuch dwa papierosy dziennie, te oficerskie, które sam od siostry miał dostawać, lub też w razie sprzeciwu odpowiednią ilość porcji uderzeniowych, a że muskuły legionisty wyglądały dość imponująco, rzecz jasna, że komendant sali wybrał to pierwsze, t. j. bezwzględne posłuszeństwo i dwa papierosy.

Na salę weszła pierwsza siostra, przydzieliła legioniście łóżko, czystą bieliznę, dała kolację i po kolacji obiecała przysześć na pogawędkę.

Poszli zwiedzić szpital. Do wnętrza poszczególnych oddziałów nie wchodzili zupełnie, zadawałając się tylko oglądaniem z zewnątrz. gdyż co prawda oglądanie suchotników w najrozmaitszym stadium choroby, nie sprawiało legjonistcie żadnej przyjemności.

Szpital był zapelniony piersiowo chorymi żołnierzami armji austriackiej, poczynawszy od podejrzanych na gruźlicę, aż do takich, którzy już tylko z dnia na dzień wyczekiwali śmierci.

Śmiechu, ani też najmniejszej oznaki radości życia nie było widać. Wszędzie panowało przygnębienie, dziwny smutek, tęsknota za czemś nieuchwytnem i ponurość.

Może być, że do tego bezbrzeżnego smutku przyczyniało się to przeświadczenie chorych, że o ile ich wyleczą, pójdą na front, o ile zaś będą chorymi, tutaj umrą.

Niewiadomo czy śmierć na froncie wydawała im się straszniejszą, czy też zamiast iść na front, woleli tutaj rozchorować się naprawdę i pomalu konać, w każdym razie wszyscy starali się o jaknajdłuższe pozostanie w szpitalu. Ludzie ci właściwie nawet nie mówili do siebie. Nie wielu z nich posiadało książki do czytania, reszta włóczyła się bez celu po całym obejściu szpitala, lub też beczynn timer bezmyślnie siedziała na łózkach.

Niektórych dość często odwiedzali krewni. Odwiedziny te były jakby krótkim błyskiem radości, lecz błysk ten gasł momentalnie w oczach, jakby nawet w tym ogólnym nastroju smutku, lękał się na dłużej zapłonać.

Wszędzie na każdym kroku czaiła się śmierć, każdy ją widział, każdy o niej myślał nawet przyjezdni mimowoli po kilku chwilach spędzonych w szpitalu, starali się w ruchach swoich upodobnić zupełnie do chorych żołnierzy.

Mężczyli się wszyscy strasznie. O jakimkolwiek cieniu buty żołnierskiej, czy pewności siebie, mowy nie było, tylko wzamian tego, wszędzie, na każdym kroku widać było lęk straszny, zrozumienie bezcelowości męki i tą krążącą wszędzie śmierć, której ludzie ci dopomagali sami w zbieraniu obfitego żniwa.

Co dzień z ostatniego stojącego całkiem na uboczu oddziału, wynoszono kilka trupów.

— Jak siostra może w tym szpitalu wytrzymać i nie rozchorować się? — zapytał legjonista.

— Przyzwyczaiłam się. Cały dzień ciągle praca i to czasami wprost szalona; nie myślę o tem zupełnie, a przy tem im więcej pracy, tem lepiej dla mnie, bo w domu gdy wrócę na chwilę, też zewsząd wieje pustka i nuda. Ojca nie mamy, umarł już dawno, brat na włoskim froncie, a siostra pracuje w biurze wojskowem. Wracam stąd, matka w domu zawsze narzeka, a to na brak chleba, to cukru nie może kupić, wogóle nie ma zupełnie nic. Co mogę przynoszę dla matki ze szpitala,

siostra też czasem trochę żywności dla matki przyniesie i także czempredzej ucieka z domu. tak samo jak ja. Obie tylko na noc właściwie do domu przychodzimy. Ot żyć się poprostu nie chce. Z każdym dniem coraz gorzej i gorzej, zamiast żeby się cokolwiek poprawiało.

— Dobrze, ale co pani robi na miłość boską wieczorami? Czyta pani, zajmuje się czemkolwiek, co panią naprawdę interesuje? —

— Czytać, nie czytam nic. Przychodzę tak zmordowana, że mi się nic nie chce, w domu zaś siedzieć, to jeszcze gorsza męka. Mam narzeczonego, z nim idę od czasu do czasu do kina, lub razem na spacer i tak spędzam czas, zresztą coraz większa i cięższa praca i coraz częściej wieczorami i na noc trzeba pozostawać. Chorych ciągle przybywa, a ci, którzy są obecnie, rzadko, a przynajmniej niewielu z nich wychodzi, bo zamiast sami dbać o polepszenie, starają się właśnie o to, aby im było gorzej.—

— A ten narieczony, to taki dla zabicia czasu, czy też taki naprawdę? —

— Sama nie wiem. Przydzielony jest na stałe do Przemysła. Niemiec, oficer, dosyć miły i przystojny, poznałam go w szpitalu, gdy przychodził do swojego kolegi, oświadczył się i jesteśmy narieczonymi. Zresztą to wszystko, to tylko nuda i nuda. —

Wieczorem wszyscy leżący na sali zaczęli chrząkać, charczeć, oddając swe plwociny do specjalnych miseczek i starając się, aby tej flegmy w miseczkach było jaknajwięcej, przyczem każdy po wypluciu przyglądał się bacznie swoim plwocinom, niektórzy zaś jakby z lubością, paprali w nich zapalkami, lub łyżeczkami, przyglądając się temu z ogromnem zainteresowaniem.

Sąsiad legjonisty czuł się w kropce, ponieważ wszyscy plułi, a jemu legjonista całkiem na serjo zagroził uderzeniem buta, o ile nadal będzie pluł przy nim i nie wyniesie się do najjaśniejszej cholery.

Weszła znowu siostra i przyniosła legjoniście miseczkę.

— A to mi po co? — zapytał zdumiony.

— Na plwociny, codzień wieczorem i rano ma pan pluć do tej miseczki, bo plwociny idą do badania. —

— Ani mi się śniło proszę siostry. —

— Musi pan, rozumie pan! Tu nie ma żartów, bo taki jest rozkaz! —

— Jeszcze mi się nie zdarzyło, abym wykonał jakikolwiek rozkaz austriacki, a tembardziej taki, jak ten. —

— Ale proszę pana - zmieniła siostra swój poprzedni mimowoli przybrani ton urzędowy — przecież po to pan tu przy-

szedł, aby go zbadali i od tego przecież zależy zwolnienie pana z wojska austriackiego, gdyż, jeżeli pan nie da swych płwocin do zbadania, uznają pana za zdrowego i zabiorą do armji austriackiej.

Siostrzyczko najdroższa — odparł legionista, pozwoliłem się tu przyprowadzić, bo sam tak chciałem, chcąc mieć papiery w porządku i dostać się do Krakowa, ale jeżeli się to nie da, nic mi na tem nie zależy; pracować można wszędzie, nietylko w Krakowie. W to zaś chyba, że potrafię uciec nim mnie zdążą dokądkolwiek zaprowadzić, przypuszczam, że siostra nie wątpi. Zwolnią dobrze, będę siedział i pracował w Krakowie, nie zwolnią drugie dobrze i tak im służyć nie będę. —

Ale przecież gdy zamelduję, że pan nie chce dawać swoich płwocin, to stanie pan do raportu i zamkną pana. —

— Jako chorego zamykać nie mają prawa, a blazna z siebie robił nie będę.

Siostra wzięła się na inny sposób.

— A jeżeli ja będę miała z tego powodu nieprzyjemności to co wówczas? Za co pan mi chce zrobić krzywdę? —

— Boże broń krzywdy żadnej nie myślałem. Dla siostry mogę pluć całą dobę na wszystkie strony, a ze szczególną przyjemnością na austriaków, ale nie w miseczki i nie nosić się z tem i paprać jak te świnię. A zresztą po pierwsze ma przecież siostra narzeczonego, więc niech on dla niej pluje choć przez cały rok, z jakiej racji ja mam to robić, a po drugie może przecież siostra wziąć płwociny jakiegokolwiek umrzyka, albo najzdrowszego ordynansa, wszystko mi jedno, ja jednak pluć nie będę. —

— Gdyby mój narzeczony był w szpitalu, może pan być pewien, że robiłby to, o co bym go poprosiła, a zresztą każdy grzeszny i nieuparty tak jak pan, takżeby to zrobił.

Nie chce pan pluć wszystko jedno i mnie, ale pierwszy raz niechże pan to już zrobi na moją prośbę, a gdy się już dowiem coś o zawartości, nie będę pana dalej męczyć, lecz tak jak pan radzi podam płwociny jakiego umrzyka. No więc tylko ten jeden raz.

Dobrze?

Plując do miseczki mruczał sam do siebie: — Na wszystko w życiu byłem przygotowany lecz tego, żebym miał kiedy w życiu na prośbę kobiety, która mi się w dodatku podoba pluć i te płwociny jej podawać, nie spodziewałem się nigdy.

Siostra mu podziękowała, podała rękę, on ją pocałował, a po wyjściu wściekły na siebie, rozglądał się po sali jakiby tu komu zrobić kawał.

Zobaczył, że jeden z żołnierzy usnął już snem kamiennym w ubraniu na łóżku. Nakazał wszystkim ciszę, wiał do ręki gu-

zik żelazny, rozpalił go zapalką do czerwoności, napluł na spodnie śpiącemu i na miejsce naplute położył rozpalony guzik. Śpiący żołnierz zerwał się momentalnie na równe nogi i zrobił tak przestraszoną minę, że wszyscy ryknęli śmiechem patrząc na niego i wreszcie on sam nie wiedząc z czego się śmieją, zaczął się także śmiać.

Przypieczenie guzikiem, stary kawał żołnierski, ma tą dobrą stronę, że guzik leżący na płwocinie nie przepala spodni, ani też nie wywołuje oparzelizny, lecz w pierwszym momencie przyłożenia działa tak silnie, że obudzi choćby najmocniej śpiącego, przy tem, ponieważ śpiący zrywając się strąca równocześnie guzik, choćby znał ten kawał, nigdy nie wie co się stało, dopóki mu ktoś nie powie.

Po sali powiał inny duch. Na śmiech wpadła starsza siostra zdumiona tem, co się stało i że od niepamiętnych czasów wezłość zapanowała na sali. Za nią wpadły i inne.

Wszyscy na wyścigi jeszcze roześmiani zaczęli starszej siostrze w najrozmaitszych językach opowiadać o zajściu. Siostra uśmiechnęła się do legionisty, dała mu obiecane papierosy i za rozweselenie sali dodała jeszcze kilka.

Po jej wyjściu legionista obliczył papierosy. Potrzebne na drugi dzień, schował do kieszeni, a z resztą trzymając w rękę, zwrócił się do żołnierzy.

— Sluchajcie wiara, wiem, że wszyscy palicie i jeden przed drugim się kryje, dlaczego nie rozumię. Mogę dać każdemu połowę oficerskiego papierosa, ale kto pali niech tu przyjdzie do mnie i warunek, że nie będziecie palić w ustępie, tylko w ogrodzie na świeżem powietrzu. Zgoda? — A jak powiem spać, to żeby nie było żadnych marudzeń wszystko ma spać, tak samorano, czy przez cały dzień żebyście się psiakrew żwawiej ruszali, bo ten smutek i ospałość i tak wam nie nie pomogą, a patrząc na was takich jakimi jesteście, umrzeć można z obrzydzenia. Co będę miał papierosów więcej, te wam rozdam a może i siostra jak was zobaczy weselszych także coś doloży. No co podoba się wam? —

Po wytłomaczeniu wszystkim przez wszystkich, wszyscy odrazu się zgodzili i każdy wziął papierosa. Myny jakoś odrazu im poweselały.

Kładąc się spać jeszcze niektórzy śmiali się z miny swojego kolegi po obudzeniu.

Gdy legionista leżał już w łóżku, przyszła do niego siostra i usiadła na brzegu łóżka. Na sali świeciła się tylko jedna przyćmienna lampa. Wszyscy już prawie spali. W północy, aby nie budzić innych, półgłosem odezwała się do niego: — Proszę pana, niech mi pan wytłumaczy jedną rzecz, której nie mogę zrozumieć. Dlaczego, ile razy do szpitala czy też dokądkolwiek

przyjdzie legionista, zawsze wnosi ze sobą całą masę życia, radości i wesela. Czy głodny, czy chory, czy ranny, zawsze wesół, zawsze jakieś inne życie w nim panuje. Wszyscy, choćby nie chcieli muszą myśleć o nim, każdego ująć potrafi. Nie spotkałam jeszcze takiego, któryby tak, jak ci tutaj, aż drżał na wspomnienie frontu. Byliście razem z Austrią, byliście weseli, dzisiaj gnębieni i trapieni przez wszystkich zaborców, pomimo tego gdzie który z was się znajdzie zawsze jest wesół, inne życie z sobą wprowadza i wszystkich za sobą porywa.

Choćby pan dzisiaj naprzykład, drugi dzień dopiero u nas a już wszyscy o panu wiedzą, wszyscy się nim interesują, a na tej sali i w całym szpitalu przyznam się panu, że od roku, t. j. od czasu wyjścia stąd ostatniego legionisty, nikt się nawet nie uśmiechnął. Pan przyszedł i odrazu wszyscy poweselili, wszyscy stali się różniejsi. Niech mi pan powie, co was trzyma, co wam daje te siły, tą beztróskę i wesołość, choć tulacie się jak psy i chociaż sprawa polska dzisiaj stoi o wiele gorzej, niż stała kiedykolwiek podczas wojny światowej. Dzisiaj już przecież nie mamy ani jednego żołnierza polskiego w jednym zwartym oddziale na całym świecie. We Francji przecież nie ma nic. Pierwsza Brygada w Szczypiornie. Drugiej Brygady część w Huszt i Marmaros Siget, a reszta rozbita; korpus Muśnickiego poddał się, Piłsudski aresztowany, a wy wszyscy jakby nigdy nie, zawsze pełni zapału i chęci, niczem niezrażeni. Niech mi pan to wytłumaczy. —

— Jak siostrze na imię?

— Wanda. —

— A więc panno Wando. To wszystko co pani powiedziała, jest na pozór prawdą. Czasem to człowieka porywa taka wściekłość na wszystko, że strzeliłby sobie w łeb, gdyby nie to, że każdy ma swój obowiązek wzięty na siebie, że musi pracować dla Polski, dla naszej niepodległości wszędzie i że życia marnować mu nie wolno. Dziwi panią, że na froncie biliśmy się dosyć dzielnie, powodowała nami ambicja żołnierska, wstyd tchórzostwa, wyrobienie męskości, a czasem, gdy człowiek pomyślał o tem, że wszystko przeciwko nam się sprzysięgło, jakby niemal i sam Bóg nas się wyrzekł, szliśmy i idziemy z determinacją, często na oślep, z pragnieniem i w poszukiwaniu śmierci; wtedy naprawdę jesteśmy straszni dla naszych przeciwników, a śmierć nie przychodzi. Gdy mamy chwilę wytchnienia, jesteśmy weseli, by w wesołości, żartach i kawałach, zapomnieć o troskach, nie gryźć się niepotrzebnie i zachować dzięki temu nerwy i spokój na czas i moment potrzebny. Trzymamy nas to, że losy naszego życia, związaliśmy ściśle, samochcąc jako ochotnicy z losami Polski i póki tchu i życia, dla niej pracować musimy. Przyszłość naszą, czy to jako akademików, czy w każdym innym dziale, zdrowie, młodzieńczą naiwność

i zapal dawno djabli wzięli, pozostał nam za to upór, wściekłość, chęć zemsty i szkodenia naszym wrogom na każdym kroku i to przeświadczenie, że Polskę zdobyć musimy, albo padniemy przedtem w walce sami. — Kolegów naszych nie żałujemy, bo ten kto u nas zginie jest już przecież wolny odrazu, a przyzna pani, że na sama myśl o tem, że człowiek zakuty w austriacki czy inny mundur, stałby się mimowoli z czasem do tych tutaj, choćby na tej sali podobny, może odebrać całkowicie chęć do życia. Trzyma nas praca i wzięty na siebie obowiązek. —

— Dobrze, praca — odpowiedziała — lecz nie wszyscy są w takim położeniu jak wy legioniści, nie wszyscy mogą tak całkowicie oddać się sprawie, co mają robić inni, którzyby też jeszcze żyć, a może i pracować chcieli i przez to zdobyć tą waszą energję i odporność życiową. —

Zaraz, zaraz siostrzyczko kochana, bo to. co do pracy to ważna rzecz. Jedno tylko chciałbym wiedzieć nim dalej mówić zaczniemy. Czy pani bardzo kocha tego swojego narzeczonego Niemca? —

— Jeżeli mam być szczerą, nie kocham go zupełnie. Myślałam nieraz o tem i przekonałam się, że nie. Ze ślubem zwlekam a nie zrywam, no bo co mam robić? — On mi daje chwilę przyjemności tem, że mam z kim iść na spacer i do kina i nie myśleć stale o tem codziennem szarem życiu dzisiejszem, bez żadnego jaśniejszego promyka na przyszłość i bez żadnych widoków poprawy. Odpocząć czasem trzeba. —

— Proszę siostry, wszędzie na każdym kroku w dzisiejszych czasach pracować można i trzeba. Może być, że ta obecna nasza praca nie osiągnie znowu tego celu o jakim marzyliśmy i jaki chcielibyśmy uzyskać, ale mimo tego ustawać nam nie wolno. Ile tutaj w tym szpitalu jest pracy dla Polski. Niech pani tylko pomyśli. Przechodzą tu przez szpital i Polacy i to zdaje się w dużym procencie. Różni są oni. Niejedni z nich nawet nie wiedzą o tem, że ktoś chce Polski wolnej, że bije się, walczy, cierpi za nią, nie wiedzą co ta wolność im da, ot zagnani, katowani przez podoficerów czy oficerów austriackich dochodzą do stanu zupełnej apatii, wiedzą, że nikt im nie pomoże. Tym na przykład przyjąć z pomocą lecz tak, aby oni to poculi, że pomaga się im tylko dlatego, że są Polakami.

— A jak? —

— Sposobów znajdują się tysiące. Niekoniecznie trzeba pomagać finansowo. Pani n. p. tutaj ma wszelkie możliwości udzielania pomocy, zależy tylko czy pani będzie mieć do tego ochotę, choć naprawdę dziś, to każdy winien pracować. Widzi pani przecież co się dzieje. Gdyśmy w 1914 r. wyszli do boju w mundurach polskich, byliśmy tylko sami. Śmiano się z nas niejednokrotnie, litowano się nad nami, każdy kto nas spotkał

uważał za swój święty obowiązek dawać nam wskazówki, rady, lub też złożyć nam a naiwność naszą i miłość do Polski wyzyskiwać dla swoich celów, albo też w pracę naszą zasiewać zwątpienie. Myśmy nic nie mówili, zaparliśmy się w sobie i pracowali aby wytrwać. Chociaż nas rozdzielili, nie dali połączyć się razem, ponasylali szpiegów austriackich, pomimo to jednak przewodził nam w pracy naszej jeden człowiek nasz, taki sam jak my legionista, a nie żaden oficer zaborczej armii, Józef Piłsudski.

Oprócz nas po drugiej stronie utworzyli Moskale dla efektu legiony Górczyńskiego, zakuli ich odrazu w mundury rosyjskie i tak się stało, że my tylko myśleliśmy, mówiliśmy i biliśmy się w imię Polski a pozatem nikt. A dziś? — Niech pani tylko jasniej spojrzysz wokół siebie. Gdzie tylko znajdzie się grupka żołnierzy Polaków, czy to w mundurach rosyjskich, austriackich, ba nawet niemieckich, wszyscy mówią o Polsce, skupiają się razem, wszyscy czekają tylko na ten moment, aby móc się zaciągnąć do armii polskiej, a co się dzieje w obozach jeńców wojennych? I tu w szpitalu jest może kilkudziesięciu Polaków, mówiłem i sądzę, że są tacy między nimi, którzy wogóle o Polsce nie wiedzą. Dla przekonania się jednak, niech ich się pani kiedy zapyta, tylko po polsku, szczerze, co myślą o służbie w armii austriackiej i czyby wstąpili do wojska polskiego? Kilku się znajdzie, których nic to nie będzie obchodziło, lecz reszta, ręczę pani, że dziś byłaby gotowa wstąpić do armii polskiej.

A prócz tego wre jeszcze praca podziemna, o której przecież wszyscy wiedzą, lecz nikt jej wytropić, ani też zgniebić nie może. Więc jeżeli się rzuci okiem w tył i porówna rok 1914 z rokiem obecnym, to choć wówczas mieliśmy kilkunastotysieczną armję i wielkie nadzieje, a dziś tej armji nie mamy, sprawa nasza stoi o wiele lepiej, bo społeczeństwo całe jest za nami; jeden wróg już się rozleciał i leży bezwładny, u innych zarysy i kontury ich państw już się rysują. Trzeba nam tylko pracy i jeszcze raz pracy nad rozdmuchaniem tego ognia, który wszystkich ogarnia i pracy nad przygotowaniem jego wybuchu wtedy, kiedy on będzie potrzebny.

Nie jest tak źle jakby się zdawało, trzeba tylko pomyśleć trochę o przyszłości, oderwać się raz od tej szarżyzny życia codziennego, raz tylko jeden pomyśleć o pracy szerszej panno Wando, to potem zapomnienie już samo przyjdzie i choćby najgorsze warunki życiowe nie będą nigdy powodem rozgoryczenia, bo nie będzie się o nich myśleć, gdyż praca ta wszystkie myśli pochłonie. Jeżeli się ma ochotę, trzeba tylko raz spróbować i nie dać jej ostygnąć.

— Ja chcę pracować, lecz nie wiem sama jak zacząć. Jeżeli trzeba zacząć od zerwania z narzeczonym, mogę to zrobić odrazu. —

— To już całkiem od pani zależy. Pytałem się dlatego czy

go pani kocha, ponieważ on mógłby wywierać wpływ na panią i hamować w pracy. —

Odwołali ją do chorego na innej sali.

Pogawędki legionisty z siostrą stawały się coraz częstsze. W każdą wolną chwilę siostra przybiegała do niego. I on teraz naprawdę niewiele miał czasu, gdyż zaczęto go w tempie przyspieszonym badać, opukiwać i prześwietlać chcąc jaknajprędzej rozstrzygnąć jego przyszły los, czy pójdzie do armji austriackiej, czy też zostanie zwolnionym.

Początkowo lekarze (wszyscy byli Węgry) odnosili się do niego zupełnie obojętnie, przy drugiej już jednak wizycie zaczęli się interesować jego życiem, zajęciem w cywilu, zamiarami na przyszłość o ile zostałby zwolniony, a wreszcie wysondowawszy z niego, że ma zamiar kształcić się dalej, pomimo tego, że nie ma rodziców, na piąty dzień jego pobytu w szpitalu, orzekli, że do służby w wojsku austriackim zupełnie się nie nadaje i że winien być natychmiast zwolniony od wszelkiej powinności wojskowej.

Zmiana w usposobieniu lekarzy była tak wielka i raptowna, że zaskoczyła legionistę nieprzyzwyczajonego do takiego odnoszenia się w stosunku do niego oficerów czy też lekarzy austriackich. Czuł w tem rękę i starania siostry Wandy; ona jednak na wszelkie zapytania dotyczące tej kwestji odpowiadała przecząco.

W szpitalu rzecz jasna przez tych parę dni pobytu nie zbywało mu na niczem. Towarzysze szpitalni polubili go rychło, wszystkich zawsze powrafił rozweselić, do wszystkich się dostosować; lub też podciągnąć ich do siebie a jednak mimo wszystko całą duszą rwał się ze szpitala, nie mógł doczekać się tej chwili, kiedy nareszcie przyjdą z obozu internowanych po niego, boć przecież obecnie przyświecała mu nadzieja całkowitej wolności, pracy nieskrępowanej ukrywaniem się przed poborem do wojska austriackiego i dzięki temu tem intensywniejszej i owocniejszej. Wiedział, że jeszcze w obozie będą mu robić trudności, że jeszcze zanim go zwolnią szykanować go będą na każdym kroku, lecz dzięki temu tem bardziej chciał się tam jaknajprędzej znaleźć, przetrwać to i nareszcie być wolnym.

Siostra Wanda przysyłała mu coraz bardziej powłóczyście spojrzenia, każdą wolną chwilę wykorzystywała po to, aby przybiegnąć do niego i chociaż parę słów z nim zamienić, on zda się jednak jakby tego nie widział; panował nad swemi nerwami, lecz z całej jego postaci biła tak szalona radość, taka gorączka oczekiwania, że wszyscy mimowoli zrozumieli, że z tą wolnością jego jest związany jakiś wyższy cel, któremu on teraz poświęci się całkowicie, że nie jest to tylko radość spowodowana tem, że nie będzie nosił na sobie znienawidzonego munduru austriackiego i to wzbudziło dla niego niemy szacunek u innych.

Zrozumieli, że ta wolność była mu do czegoś potrzebna, bo że nie byłby i tak służył w wojsku austriackiem choćby go zaciągnęli do niego, byli najzupełniej pewni. Nieraz im przecież powtarzał: „Nie ma takiej siły na świecie, która by mnie zmusiła do tego, abym im czy też innym naszym wrogom miał służyć. Żadnego munduru oprócz polskiego nie nosiłem na sobie i nosić nie będę.” —

Nadszedł ostatni dzień i ostatnia noc pobytu legionisty w szpitalu. Siostra Wanda została na dyżurze. Gdy wszyscy zasnęli, wyszli we dwoje do ogrodu szpitalnego

— Pan, to aż cały płonie radością wydostania się stąd i przyszłego zwolnienia.— zaczęła.

— Niech się pani nie dziwi. Przecież ja mam inną naturę niż ci wszyscy tutaj. Na naszej sali już jakoś trochę weselej, ale przecież ogólny nastrój w szpitalu jest ten sam, jaki zastałem. Patrząc na tych ludzi, na ich papranie się swojej własnej, prawdziwej czy urojonej chorobie, najzdrowszy człowiek może się rozchorować.

— Zerwałam wczoraj z narzeczonym.—

— Dlaczego? —

— I pan się o to pyta? Przecież pan jest tego powodem.—

— W jaki sposób? —

— No tyle mi pan o tych Niemcach nagadał, że od tego czasu nie mogłam się patrzeć na niego. Zdawało mi się ciągle, że jest taki sam, jak ci inni Niemcy, po drugie chcę się teraz zabrać szczerze do tej pracy, o której mi pan opowiedział, chcę więc być wolną a po trzecie, no, cóż, powiem panu, przekonałam się, że są inni od niego ludzie na świecie, z większym polotem, nie przyziemni i za tym innym poszłam.—

— Za kim? —

— I po co się pan pyta, kiedy pan wie dokładnie. A zresztą z taką radością pan stąd wyjeżdża, że nie pan wogóle nie widzi.— Szczęśliwy! Niech pan tylko na jedno pytanie odpowie szczerze. Czy wszędzie gdzie pan był choćby chwil tylko kilka, pozostawia pan za sobą westchnienia, tęsknotę a przytem i piękno? Jak motyl z róży na różę? —

Usiedli na chwilę na ławeczce.

— Panno Wando a więc i pani? —

— Nie powinien się pan wobec tego dziwić. A więc tak i ja pana pokochałam, przez ten krótki czas zdążyłam. Nie będę pana zatrzymywać ani prosić o pozostanie po zwolnieniu, w Przemyślu, choć jak pan sam mówi praca jest wszędzie i wszędzie ją znaleźć można. Tyś wolnym ptakiem, przywiązany bez własnej woli czemkolwiek, czułbyś się nieszczęśliwym, leć dokąd zechcesz, lecz przedtem daj mi parę chwil szczęścia.

Mnie ta praca twoja nie porywa tak jak ciebie. Owszem będę się starała, zwalniać lub też pomagać w zwalnianiu z wojska przez ten szpital wszystkim bez wyjątku Polakom, może być, że później zapalę się do tej pracy tak jak ty, zainteresowałam się już kilku Polakami w szpitalu, a pozatem natrafiłam w mieście o czem już dawno słyszałam, lecz nie zwróciłam na to uwagi, na harcerki przygotowujące się na wypadek przewrotu w Austrii, na razie jednak podjętą w tej pracy musi być wspomnienie o tobie.

Dzwonek na korytarzu przerwał im rozmowę.

Po powrocie siostry całą noc spędzili razem, projektując przyszłą jej pracę. Noc wyznań, twórczych zamiarów i miłości smętnej, zakwitającej odwiecznem prawem natury, nawet na tem tle krążącej wokół i zbierającej swoje ofiary nieustępliwej śmierci.

Żegnali się, nim miłość rozkwitnąć zdołała, odchodzili od siebie, składając ją na ołtarzu wolności ojczyzny.

Zimny poranek wiosenny zastał ich przytulonych do siebie, składających sobie zapewnienia nie dozgonnej wiary i wiecznej miłości, lecz dozgonnej pracy dla Polski. Ta praca miała im oboju dać wspomnienie tych kilku radośnie przeżytych chwil.

Obiecał, że zwolniony z obozu internowanych, wpadnie do niej choćby na chwil kilka, lecz i te nawet odwiedziny uzależnił od tego, czy wcześniej nie będzie wezwany, czy nie dostanie rozkazu z P. O. W., do której natychmiast o zwolnieniu winien był złożyć meldunek, stawienia się na miejsce wyznaczone.

Gdy na drugi dzień przyszli po niego żołnierze z K. u. K. Infanterieregiment Nr. 9. zawezwani do odtransportowania go do obozu, siostra znalazła kilka chwil wolnych, aby ostatni choć przelotny zamienić pocałunek i aby jeszcze raz usłyszeć z jego ust potwierdzenie miłości.

W dyżurnym pokoiku całując jej oczy załzawione mówił: — Nie płacz Wanda, kocham cię miłością mężczyzny, nie jestem żadną inną kobietą oprócz ciebie zajęty, lecz i nie kocham cię tak jak kocham wolność, dla której całe swe życie poświęciłem i choćbym nawet w tej chwili pominawszy swój obowiązek, pozostał przy tobie, wiem, że po przeżyciu pierwszego szalu, do pracy powróciłbym musiał i to z tym większym zapalem im dłuższą byłaby przerwa, a zresztą i ty we mnie pokochałaś nie tylko mężczyznę, lecz może w największej mierze tą moją nieuchwytność, życie nie dla siebie i tą niemożność przykucia mię do czegoś czy kogoś. Gdybym został, urok mój w codziennym życiu prysnąłby może zupełnie, a tak pozostanę w twych myślach takim, jakim mnie widzieć chciałaś, a spotkania nasze w przyszłości dadzą nam i szaleństwo zaspokojenia tęsknoty i radość z pocucia spełnionego obowiązku.

Placząc z powodu rozstania, uśmiechała się do spotkania przyszłego, obiecując i postanawiając sobie święcie tęsknotę swą za nim, zabijać w pracy dla Polski, aby w ten sposób mieć złudzenie, że wciąż jest z nim razem przy tej pracy i aby uzyskać od niego po powrocie pochwałę i podziękowanie.

Odprowadzającym go żołnierzom austriackim nie przyznał się legionista do tego, że został zwolniony, przeciwnie aby mu się nie nudziło, opowiedział im, że obecnie będą go chcieli wysłać na front włoski, gdyż jest zupełnie zdrowym, no i że wobec tego przy najbliższej sposobności musi zdezerterować zanim go na ten front wyślą.

Nieszczęśliwi żołnierze naładowano karabiny z nasadzonymi bagnetami wzięli na „gotuj broń“, odmawiając przez całą drogę pacierze z prośbą do Boga, aby im konwojowany nie uciekł. Nie pomogły jednak prośby widocznie, gdyż przy pierwszym zakręcie i większym ruchu ulicznym, legionista znikł jak kamfora.

Stanęli jak wryci nie wiedząc co począć ze sobą. Wokół nich odrazu zebrała się gromada gapiów. Zanim się zdecydowali co mają dalej uczynić i czy meldować o ucieczce tu w mieście odrazu, czy też dopiero po powrocie do pułku, legionista nie chcąc aby ich całkiem niepotrzebnie karano, podszedł do nich znienacka z powrotem, dziękując z uśmiechem za to, że poczekali na niego, gdy na chwilę oddalić się musiał.

Nie mogli się wydziwić dlaczego uciekł, aby potem wrócić, wytłómaczył więc, że zrobił to dla przekonania ich tylko, co dla niego znaczą ich załadowane karabiny.

Obaj żołnierze zrozumieli się na rzeczy i do pierwszej przydrożnej karczmy zaprosili go na piwo, nie strzegąc go już prawie zupełnie; w miejscach tylko, w których spodziewali się spotkać władzę, lub na widok bryczki czy auta, przybierali bardzo surowe postawy, aby nie być podejrzanymi, że łagodnie odnoszą się do legionisty.

Kilka kilometrów marszu do obozu internowanych upłynęło wszystkim bardzo prędko, gdyż co prawda ani jednej karczmy nie opuścili i w wesołych już całkiem humorach zakończyli wszyscy swoją wędrówkę do obozu.

W pięć dni po przybyciu do obozu, kapral 3 p. p. b. Leg. Pol. Rukowski Edward wsiadał na pociąg, udając się w prostej linii do Krakowa, aby zameldować się w terminie w P. O. W. w Krakowie, z której w międzyczasie otrzymał tajną drogą rozkaz natychmiastowego stawienia się po zwolnieniu.

Mając wszystkie dokumenty zwolnienia i wszystkie formalności załatwione, spieszył, gdyż nie zostało mu ani chwili czasu, by wpaść do Przemyśla do siostry Wandy.—

Czas był gorący, ludzi było potrzeba; miłość musiała ustąpić pierszeństwu obowiązкови.—

W ł a d e k .

Plutonowy 2-go p. p. Legjonów, Władek Lipowicz, z zawodu absolwent gimnazjalny z Bochni, ranny pod Mołotkowem, dosta się do niewoli rosyjskiej.

Podnieśli go z placu boju jako jeńca wojennego, i nietyle leczyli w swoich szpitalach, ile organizm sam zwalczył rany przy jakiejś pomocy, zesłali do obozu jeńców wojennych, a potem na roboty polne.

Do robót polnych Władek zgłosił się na ochotnika, tak, jak to zresztą czynili wszyscy legjoniści. Rozumował przy tem krótko, że w obozie może najwyżej dostać suchot, po rosyjsku nigdy się nie nauczy mówić poprawnie, no i, że nadzieji na uciezkę nie było żadnej.

Z robót polnych co innego. — „Niech mnie tylko świeży wiatr owionie, pozostałości z ran zagoją mi się natychmiast”. — mówił — Zetknę się z ludnością cywilną, nauczę mówić po rosyjsku przez ciągłe z nią obcowanie, poznam stosunki miejscowe, zarobię sobie parę groszy i może mi się wreszcie uda wydostać skąd jakikolwiek dokument i uciec. Poszedł więc na te roboty i dostał się jako parobek do chłopu.

Do Brygady, jak i wszyscy legjoniści, tęsknił szalenie. Jedynem jego marzeniem było powrócić do pułku. Niewola rosyjska, rany, obóz jeńców wojennych, roboty polne i całe to tutaj bytowanie zdawały mu się próżniactwem w porównaniu z tem, co robili jego koledzy pozostali w Brygadzie. Choć ze szpitali wynoszono bardzo dużo trupów, zmarłych na skutek niezbyt czulego doglądu chorych jeńców wojennych, choć w obozach grasowały choroby zakaźne, a chłopu bardzo często mordowali zupełnie bezkarnie przydzielonych im jeńców, mimo to każdy dzień jego pobytu w niewoli, był dla niego wyrzutem, że czas tylko marnuje, podczas gdy pozostając w Brygadzie mógłby tyle dokonać.

Chop, do którego Władek się dostał był zamożny i ludzki, a przytem umiejący czytać i pisać. Mając dosyć dużo ziemi sam nie pracował i wskutek tego garnał się i starał upodobnić do szlachty. Dzieci kształcił.

Władowi nie było źle. Pomału cięższe roboty polecał gospodarz wykonywać innym parobkom, a Władka używał do nadzoru swych pracowników, zabierał go z sobą na polowania i wreszcie zaczął go traktować więcej jako swego towarzysza, aniżeli jeńca i robotnika.

Władka jednak pożerała tęsknota straszna. W bezbrzeźnych stepach ukraińskich, bujnych życiem wszelkiej roślinności, dzi-

kich i poetycznych niezmierzonymi przeżtrzeniami, leżących odłogiem pól i pastwisk olbrzymich, rojących się masami wszelkiej zwierzyny, tęsknił. Rozumiał i odczuwał poezję stepów ukraińskich, zrozumiał i to uczucie, gdy ukraińiec dosiada konia i jedzie na oślep przed siebie, jako pan i król tej żadnem wzgórzem nieprzerwanej równiny, wczuwał się w ducha naszych dawnych kresowców, gdy gnali przed sobą panicznym strachem ogarnięte i zwyciężone ordy, porwani szaloną żądzą walki. Nie raz, jakby na jawie widział buńczuki nasze dawne, sławne boje na polach tych w swych wizjach odtwarzał, lecz im bardziej wczuwał się w udochowienie tej ziemi, tembardziej tęsknił do czynu i boju. A czyn i bój mógł zdaniem swoim znaleźć tylko w Brygadzie.

Gdy tylko więc nadarzyła się okazja, uciekł zrzucając z siebie piętno niewolnika. Zatrzymał się w Kijowie i wstąpił odrazu do P. O. W.

Przejazd, czy też przejście na drugą stronę do Brygady były w obecnych warunkach niemożliwie, więc jął się pierwszej napotkanej pracy niepodległościowej, aby tylko nie siedzieć z założonemi rękoma.

Praca ta jednak nie zadawałniała go.

- Słuchaj - mówił nieraz do swojego kolegi. - Nie podoba mi się ta robota. Niby owszem, dla tego, który frontu nie widział, w wojsku nie służył, to bardzo dobre, ale dla nas? Co tu bracie porównywać, kiedy nawet porównania niema. Tam miałem pluton, gdy z nim poszedłem na patrol, to wiedziałem, że coś z tą siłą mogę zrobić. A ty przecież wiesz, co to znaczyl pluton naszej wiary. --

- Patrzą nieraz na tych Mochów. Pamiętasz, gdy u nas pluton dał sobie radę z kompanją rosyjską, to zawsze się to jednak uważało za czyn odważny, a dziś, - gdy ich już zupełnie dokładnie poznałem, to jabym teraz całkiem śmiało, „na pewniaka“, poszedł z moim plutonem na cały ich bataljon.

- Teraz ja wiem, ja to rozumię, zdaję sobie z tego zupełnie dokładnie sprawę, że praca ta jest bardzo potrzebną. Wyciągnęła nas P. O. W. z niewoli, teraz my znowu innych wyciągamy, ćwiczymy się sami, przygotowujemy innych, na każdym moment jesteśmy gotowi, to wszystko racja, ale powiedz mi kiedy ten moment nareszcie nastąpi? My tu bracie czekamy, uczymy się, przygotowujemy siebie i innych, zdobywamy, a właściwie kradniemy karabiny, ukrywamy się, gonia nas i szukają, tropią i t. p. szopki urządzają, a tamci tymczasem biją Mochów co wlezie, na każdym kroku. Czasem i sami dostaną, ale to co? Cofną się, oprzytomnieją, przygotowują porządnie i jak wyrzną drugi raz, to już ze skutkiem jak należy. Zginie który, 10-ciu, 100-tu, 1000, no to co, przecież nie na to poszli na wojnę, żeby się rodzić,

lecz po to, żeby zabijać i ginąć sami, ale jest ruch, jest życie. Wogóle ja ci mówię, żeśmy mieli pecha. Że mnie i ciebie ranili Moskale, to głupstwo, wcześniej czy później byłoby się to stało, ale że to psiakrew akurat wypadło w takiej bitwie, w której nasi dostali po skórze, to jest pech. Gdyby w innej, - podnieśli by i mnie i ciebie nasi, wyleczyli i znowu człowiek wróciłby do swoich z powrotem, a tak, to siedź tu bracie i słuchaj tylko co tamci robią. Ej, żeby tak Bóg dał jaknajprędzej, albo tam do Brygady, albo tu już móc kropić. - Mają założyć lotny oddział do wysadzania mostów, tłuczenia Moskali, Niemców i innej hołoty, dajże Boże jaknajprędzej! —

Zaczęłoby się przynajmniej życie. Co jedno mi się podoba, to ta przysięga. To rozumię, idziesz na robotę, dostajesz browning, otoczą cię, osiem kul ci wolno wystrzelać z ostatniego magazynku, a 9-tą sobie w usta, żeby żywcem nie wzięli. To mi się podoba, ale jednak choćby się ta robota zaczęła, do Brygady wróciłbym w każdej chwili. Tam człowiek jest żołnierzem co się zowie.

Rewolucja rosyjska nie obchodziła go wcale. To, że Moskale zrzucili carat i carów zamknęli, uważał za rzecz bardzo dobrą i mądrą, choć do narodu rosyjskiego odnosił się zawsze z pogardą. Nie mógł zrozumieć jak naród tak wielki, bogaty i zasobny we wszystko, mógł tyle czasu znosić ucisk carski, tyle lat jęczeć w niewoli, płakać, narzekać, a wreszcie wydobyć się z pod niej, lecz i to dopiero przy pomocy Niemców i Austriaków.

Na walki bolszewickie ze stronnikami Kiereńskiego, czy też dawnego rządu carskiego zapatrywał się w ten sposób, że im więcej oni między sobą się wytkłuką, o tyle my mniej będziemy mieli z nimi do roboty.

Widać Bóg im resztę rozumu odebrał. - mówił. Rzną się pomiędzy sobą aż hej. Dajże im Boże jaknajdłużej, niech chociażby wszyscy się wymordują. Żeby tak jeszcze Niemcy między sobą tłuc się zaczęli, to byłaby dopiero frajda? Z Austriakami to tam wiele kłopotu nie będzie bo to, tylko porządnie w całe państwo dmuchnąć, to odrazu się ten zlepek rozleci. —

Same walki stronników Kiereńskiego z bolszewikami interesowały go, ale narażać się nie chciał, uważał bowiem za rzecz strasznie głupią zginąć w tych warunkach od jakiej zablakanej kuli; za to, gdy dom przy ul. Moskiewskiej w Kijowie, służący za schronisko Polaków, znalazł się pomiędzy dwoma frontami i mieszkający tam Polacy pochowali się przed gwizdzącymi przez okna kulami do piwnic, Wladek choć w karty grać nie lubił, zebrał wszystkich legionistów, którzy w tej chwili znajdowali się w domu, siadł razem z nimi w najbardziej zagrożonym i odwiedzanym przez lecące z dwóch przeciwnych stron kule pokoju i zaczął grać w karty, gdyż uważał, że nie wolno legionistom chować się razem z cywilami do piwnicy i w ten sposób narażać na szwank, honor bojowy całych Legionów.

Pieniędzy które dostał, czy też zarobił, nigdy nie uważał za swoje.

Zdarzyło się raz, że dostał na ówczesne czasy grubszą forszę. Ponieważ legioniści wogóle brakiem apetytu nie grzeszyli zupełnie, a pod tym względem Władek także się od innych nie wyróżniał, a naogół w Kijowie był straszny mortus, bo jedzenia wogóle wszyscy mieli za mało, zabrał Władek jeszcze trzech kolegów (samemu mu jeść nie wypadało, kiedy inni także byli głodni) i poszli do restauracji.

W pierwszej restauracji jedli dópóty, dopóki na nich nie zaczęli zwracać uwagi, skąd się tu znaleźli ludzie, którzy tyle zjeść potrafią, wówczas poszli do drugiej. I w tej siedzieli też to tej pory, aż się ludzie znowu zaczęli im zanadto ciekawie przyglądać. Wreszcie najedli się w trzeciej, chociaż kelner nie wiedząc o tem, że oni w czterech posilali się już w dwóch restauracjach, dziwił się ich dobremu apetytowi. Inna rzecz, że na trzeci dzień Władek sam, znowu nie miał co jeść.

Jednej rzeczy nie mógł odżałować, a mianowicie tego, że nie był na Syberji.

— Wogóle mam pecha potarzał — niedość, że mnie wzięli do niewoli, to nawet na Syberji nie byłem, a przecież całe życie marzyłem o tem, żeby kiedy dostać się na Sybir, zobaczyć tą naszą drugą ojczyznę, gdzie tylu najlepszych i najdzielniejszych synów Polski zginęło. Poznać i przynajmniej zrozumieć ich cierpienia, bole i tą, tylekroć większą od naszej — tęsknotę do Polski, poświęcenie i pomimo wszystko pracę dla Polski z wieczną o niej myślą. Ha, no, trudno, pieniędzy nie mam na to, abym mógł pojechać sam i czasu teraz także nie, a ci idjoci Moskale zamiast mię tam wysłać, to nagle w stosunku do mnie poczuli widać jakiś sentyment słowiański i nie wiedząc żem legionista, powysyłali tam przeważnie wołowatych Niemców.

Pomimo wszystko pracował w P. O. W. z całem zaparciem się siebie i poświęceniem. Narzekał na tą pracę, że gorszą jest niż walka w pułku, lecz orał jak wół, uważając walkę orężną w szeregu za Polskę jako świętość i że gdy w walce tej bezpośredniego udziału brać nie można, trzeba się imać każdej pracy dla Polski nie wyłączając zdaniem jego tłuczenia kamieni na szosie, o ile by to miało Polsce przynieść jakąkolwiek korzyść.

Znalazł się wśród przebywających w Kijowie legionistów jeden, któremu się podobały hasła bolszewickie i który nietyle z przekonania, ile z fanfaronady a czasem z chęci dokuczenia kolegom, hasła te wygłaszał, twierdząc, że mu się one bardzo podobają, że są jedynie rozumne i uczciwe na całym świecie i t. d. i t. d.

Biedny on był w dyspacie z Władkiem.

— Jak się masz bolszewiku? — witał go zawsze Władek.

No i kiedy nareszcie — ciągnął dalej — przylepisz do swej czapki gwiazdę bolszewicką? Tylko pamiętaj bracie, że wtedy z orzelkiem polskim pożegnać się musisz. —

— Ciebie się o to nie będę pytał — odpowiadał zaczepiony — czy obok gwiazdy pozwolisz mi nosić orzelka? —

— No pewnie że nie, bo bym ci przecież pierwszy orla naszego nie pozwolił profanować. A zresztą zdarłby ci go zaraz pierwszy lepszy czerwonogwardzista w imię świętości swojej gwiazdy. — ciągnął dalej Władek.

— Zdarł, nie zdarł — odpowiadał „bolszewik”. — to nie są ludzie tacy jak ty, to są przecież ludzie, którzy pierwsi na całym świecie odczuli niedolę robotnika i o nią walczą. —

— O co walczą? — zapytał Władek.

— W imię niedoli robotnika i wogóle biednych ludzi. — odpowiedział tamten.

— A tak w imię niedoli, to się zgadza, ale nigdy o to, żeby tę niedolę zmniejszyć, lub też ich być porawić. O kariery swoje, o brylanty, klejnoty, o zagarnięcie w swoje ręce władzy, wpływów i majątków zamożnej klasy, o to oni walczą, ale robotnikowi nigdy lepiej nie będzie a szczególnie pod ich żydowskimi rządami. —

— Żydzi też są ludźmi mającymi takie same prawa jak i inni. —

— Owszem, ale w Palestynie, nie tu. To dlaczegoś ty wstąpił do Legjonów? Rosjanie to przecież też tacy sami ludzie jak my, nawet nasi pobratymcy, Słowianie, toć też według twoich słów mieli prawo rządzenia nami. —

— To co innego, Moskale byli najeźdźcami, odebrali nam byt niepodległościowy a ci, rządzą u nich w ich imieniu i dla ich dobra. —

— Przy równoczesnem napychaniu sobie kieszeni pieniędzmi rosyjskimi i wywożeniu ich zagranicę na wszelki wypadek. —

— Że się trafi jeden lub drugi łotr to jeszcze nie dowód, aby mieli być takimi wszyscy. W każdym razie oni pierwsi rzucili hasło ukończenia wojny, wolności pracy i wolności narodów. —

— Ty na wojnę nie narzekaj, bo bez wojny nigdy nie bylibyśmy mieli Polski, jedyna nadzieja uzyskania jej teraz, a o bolszewickiej wolności narodów nie zawracaj mi głowy, tylko lepiej wytłumacz dlaczego się oni biją z Ukraińcami, kiedy ci nic innego nie chcą, tylko w myśl ich hasła chcą swojej wolności i chcą się rządzić u siebie tak, jak się im podoba?

Dysputy takie ciągnęły się do nieskończoności. Władek górował zawsze nad swym przeciwnikiem tem, że znał dobrze zasady socjalizmu, początkowo na równi z innymi ucieszył się rowolucją rosyjską, nie tylko dlatego, że zbliżała nas ona do celu

uzyskania niepodległości, ale że równocześnie dała wolność milionom mas zamieszkałym w Rosji, widząc jednak co się dzieje, że zamiast obiecanej wolności, szerzą się tylko rabunek i mordy, że najdziksze i najbardziej zwierzęce instykta wszędzie biorą górę, że nowi dygnitarze rozbijają domy, rodziny, wprowadzają rozwody i t. p. tylko po to, aby sami mogli używać, machnął ręką na wszystko, określając cały bolszewizm jako kłamstwo i przejaw wolności najgoręszych chuci zwierzęcia ludzkiego.

Gdy runęła wieść o tem, że Piłsudski aresztowany, I-sza Brygada w Szczypiornie, Władek w pierwszej chwili tłukł formalnie łbem o ścianę. Pozostanie II-giej Brygady tłumaczył sobie tem, że w II-giej Brygadzie jest większość Małopolan, którzy z chwilą jej rozwiązania musieliby i tak pójść do wojska austriackiego, więc w ten sposób woleli przynajmniej służyć w mundurach polskich i pod polską komendą. Pozatem pracował. Rozumiał, że teraz zaczyna się „Zabawa“ na wszystkich frontach i przeciwko wszystkim zaborcom.

Do Brygady już się nie rwał. Wolał pozostać na miejscu wiedząc, że w Brygadzie nie we ole obecnie nastąpiły czasy.

Front rosyjski trzymał się jeszcze jako takó. Władek został wysłany jako rosyjski urzędnik wojskowy celem zorganizowania P. O. W. na froncie.

Organizował Polaków zamieszkałych na Wołyniu, przesiąkał w szeregi armji rosyjskiej, wiązał, spajał i uświadamiał Polaków z tej armji, chodzących obecnie jak błędne owce.

Żołnierze rosyjscy demobilizowali się sami. Sprzedawali co mogli i jechali do domów, mówiąc, że dość mają wojny i wszystkiego tego dobrego, i że wolność, to znaczy możność robienia co się tylko komu podoba. Polacy nie wiedzieli niejednokrotnie co ze sobą robić. Powrót do kraju mieli odcięty, urzędowali tam przecież Niemcy i Austriacy, a oni byli żołnierzami wrogiej im armji.

Tych żołnierzy w miarę możliwości skupiać i uświadamiać było zadaniem Władka. Choć w razie ujawnienia jego pracy czy to bolszewicy, czy kornilowcy byliby Władka niechybnie powiesili, jednak nie wiedząc o niczem, wszyscy go polubili, choć Władek wcale swoich przekonań socjalnych, ani też zapatrywań na wynik rosyjskich zapasów nie ukrywał zupełnie. Kornilowcom mówił otwarcie, że stare ich hasła i chęć wpędzenia z powrotem chłopca i robotnika rosyjskiego w dawne jarzmo carskiego ucisku, nie oparą się nowym hasłom, wolności i równości, a bolszewikom, że ci wymordowali i nadal mordują tylko swoją inteligencję nie wiadomo po co i na co, a tymczasem wielcy ich kapitaliści wywieźli swoje kapitały już dawno zagranicę i kpią sobie z nich, bo im bolszewicy de facto nie nie zrobili, zemścili się tylko na inteligencji, która im najmniej była winną i której później będą poszukiwać, a dalej, że program ich w tem założeniu, w jakim go obecnie przedstawiają, nigdy nie wejdzie w życie.

O przyszłym ustroju Polski nie mówił nigdy. Naprzód niepodległość. Zdobyć ją, to nasze zadanie, cel i obowiązek — pow-

tarzał. Gdy ją zdobędziemy dopiero, wówczas będziemy mogli mówić o przyszłym naszym stroju i pracować nad takim strojem, któryby wszystkim dał prawo i możność bytu.

Druga Brygada przebiła się przez front austriacki i przeszła na terytorjum Rosji. W jednej chwili Władek zdał wszystko swojemu zastępcy i zgłosił się w Komendzie P. O. W. w Kijowie z prośbą o zezwolenie udania się z powrotem do pułku.

Tak czekał tej chwili, tak marzył o możności powrotnego wstąpienia, tyle nocy prześnił o tem, obserwował armję rosyjską, uczył się po to, aby wiadomości te wyzyskać, gdy tylko wstąpi z powrotem do Brygady i poczuje się na nowo żołnierzem mąszcerującym w twardym i zwartym szyku, kiedy znowu owionie go i owładnie nim buta, żywość, wesołość, ciągly hazard życia i beztroska żołnierska.

Gdy mu do Brygady pójść zakazano, gdy dostał rozkaz natychmiastowego powrotu na swoje poprzednie miejsce, posmutniał, zaparł się w sobie, rozkaz wypełnił i poszedł z powrotem do poprzedniej pracy.

Druga Brygada rozbita po Kaniowie. Jakby grom z jasnego nieba uderzył w niego.

Do pracy zabrał się tem zapalczywiej i odtąd tęsknota jego do Brygady i tęsknota do Polski, jednym wspólnym, wystrzeliły płomieniem.

— Wrócimy do Polski. Zobaczycie, że ona mimo wszystko będzie wolną, — powtarzał do swoich kolegów.

Osobistych przedmiotów i rzeczy nie posiadał prawie żadnych. Buty z cholewami, spodnie, koszulka rosyjska i dwie pary bielizny; nie chciałaby go krępowało noszenie jakichkolwiek rzeczy ze sobą. Stale jednak nosił przy sobie brzytwę i choć koledzy kpili z niego do niemożliwości, że nie ma jeszcze co golić, golił się codziennie. Wiecznie był w drodze, wiecznie ruchliwy.

Czasami, lecz bardzo rzadko wspominał o swojej matce i rodzinie. Kochał ich bardzo, lecz wspomnieniami nie chciał tęsknoty swojej rozżarzać. Nie lubił się, jak mówił, roztkliwiać.

— Wrócimy, wpadnę do domu na chwilę. Parę lat nie widziałem przecież nikogo, a potem znowu do swojej roboty, — mówił. — Szkoda tylko, że Brygady już nie ma. Wszystko się rozleciało po świecie. Licho wie do którego znowu pułku los człowieka poniesie. —

Nikt jeszcze nie wiedział co z Polską będzie. Wojna jeszcze wrzała w całej pełni. Niemcy i Austriacy zajmowali coraz nowsze obszary ziem ukraińskich zaopatrując się w żywność, on jednak już przewidywał swoją przyszłą służbę w armji polskiej, o niej już marzył i snił. Służba w jakiegokolwiek bądź armji zaborczej ani mu nawet na myśl nie przyszła. To była rzecz, nad którą

się nigdy nie zastanawiał i o której też nie myślał nigdy. Wydawało mu się to niemożliwością.

Pracował z całym zapalem stale.

Przyszły czasy, w których peowiaków ścigali i tropili wszyscy, a kto złapał, czy to Niemcy, czy Austriacy, Ukraińcy, czy Bolszewicy, czy też szturmowe bataljony rosyjskie, czy kornilowcy, wszyscy ich wieszali. Wszyscy ich uważali za największych wrogów swojej państwowości. Ci jednak nie robili sobie z tego nic. Jak przedtem tak i obecnie kradli broń, trzeba było most wysadzić-wysadzili, zastrzelić kogo, zastrzelili bez krzyku i cicho i choć skazanego strzegło nie wiadomo ilu stróżów, coraz więcej werbowali w swoje szeregi żołnierzy z wojska rosyjskiego, uprawiali z całym nibyto przekonaniem propagandę bolszewicką w szeregach armji niemieckiej i austriackiej, przyspieszając przez to jej rozkład. Komendantem P. O. W. na Ukrainie był wówczas pułkownik Lis-Kula. Karność była wielka, praca wytężona.

Uwijali się w tym ukropie legjoniści jako peowiaczy, na głód, na groźbę szubienic, mieli tylko jedną odpowiedź, że to za Polskę i dla Niej. Pracował też i Władek co tchu w piersiach:

Meldunki szły, rozkazy przychodziły stale i normalnie, nie było żadnych zapór granicznych, czy też posterunków, przez które nie mogliby przejść i wykonać swojego zadania, żaden front i żaden tajny agent nie mogli im w tej pracy przeszkodzić.

Stanowiskó wyższe czy niższe nie odgrywało najmniejszej roli. Nieraz zdarzało się, że jednego dnia podkomendny, na drugi dzień stawał się przełożonym. Wszyscy uważali to za całkiem naturalne. Tak widać potrzeba, — mówili.

Tylko ta tęsknota. Nic jej zabić nie zdołało. To straszne przekonanie, że nie wolno wracać do Polski, pomimo tego, że cała dusza tam porywała każdego, że nie było takiego poświęcenia ani też takiego czynu, na jakiby się nie porwali, aby tylko wrócić do kraju. Praca, piekielna praca, głód, niewygody, zapamiętanie się w robocie, nie potrafiły tej tęsknoty osłabić, przeciwnie potęgowały ją jeszcze bardziej.

Nareszcie !!! — wrócili. —

Kolega Władka powracający do kraju, spotkał go na jednym z dworców kolejowych w Polsce w mundurze plutonowego.

— Władek, dokąd jedziesz? — zakrzyknął. Co z tobą, co robisz, co myślisz dalej robić? —

Jechali w dwie przeciwne strony i zaledwie kilkanaście minut czasu mieli na porozumienie się.

— Ty, dokąd jedziesz? — zapytał go Władek.

— Jadę zobaczyć co słychać w domu, a potem wstąpię do pierwszego lepszego tworzącego się pułku i spokój. —

— No, to wstap odrazu; do domu nie zagladaj i jedz przy tem w takie strony, w ktorzych nie znasz lub nie spodziewasz sie spotkac nikogo ze znajomych. —

— Dlaczego? —

— Wszedzie cie spotka rozczarowanie. Widzisz myśmy zapomnieli wszyscy w niewoli o tem, ze od naszego ostatniego pobytu czy w domu, czy na froncie, uplynelo pare lat i ze ludzie tu zyli swojem wlasnen zyciem, a myśmy chodowali w naszych sercach i duszach, ostatnie nasze chwile, ktore tu przezyliśmy i to samo spodziewalismy sie zastac po powrocie.

— Koledzy — ciagnal dalej — na wysokich dzisiaj stanowiskach. Ci, ktorzy nie poszli i nie byli nigdzie, pokonczyli uniwersytet, a ci ktorzy zostali w wojsku, podostawali stopnie oficerskie, nominacje, zupełnie naturalnym biegiem spraw a my, ot czem byliśmy w 1914 roku, tem jesteśmy i teraz. Pamietasz, nieraz mowilem ci o moim plutonie. Otóz duzo z niego jest zabitych, co do wielu nie wiem, co sie z nimi dzieje, a inni jak n. p. mój obecny dowódca bataljonu, zostal majorem, a byl u mnie kapralem na sekcji.

— Co sie dziwić, mowilem nieraz w niewoli o tem nie wiedzac, ze kazda chwila spedzona tam, to strata czasu dla nas i dla naszej pracy i mialem najzupełniejazą rację. Myśmy zostali w tyle, a oni poszli naprzód. Widzisz, choc myśmy tez tam pracowali, choc przeciez dostalismy sie nie z wlasnej woli do niewoli, choc nas nieprzytomnych zabrali do siebie Moskale, choc przeciez razem z nimi, a moze nieraz i wiecej boleliśmy nad wszystkim co Polskę spotkalo, bo oni reagowali karabinami, czy walka, a my ot, albo w stepach rosyjskich samotni, albo w pracy naszej sami, to teraz musisz sie bracie wziac jeszcze bardziej w garść i isc nieraz pod komende swojego wlasnego kaprala, stac na baczność jak mur i nie dac poznac po sobie, ze cie to boli.

— Ale to glupstwo, choc mój dowódca bataljonu daje mi obecnie szkole, bo on przeciez byl z nami, ze sie wybil, a mnie zafasowali Moskale, to mój pech; gdybym zostal w pulku, tez nie bylbym przeciez do tego czasu plutonowym, tylko to najgorsze, ze poprzychodzili do nas obecnie najrozmaitsi oficerowie z najrozmaitszych armji i tych obecnie sluchac musisz, bo oni przeciez tez teraz pracuja juz dla Polski. Późno zaczęli, coprawda wtedy, gdy juz mamy niepodległość, ale w kazdym razie obecnie pracuja i walczą za Polskę.

— Gdyby nie to bracie, ze teraz kazdy karabin Polsce potrzebny, ze teraz niemal kazdy czlowiek, a wlasciwie nieraz jeden czlowiek, moze zawazyc na szali i gdyby nie to, zesmy losy swoje, zwiazali z losami Polski na zawsze, a szczegolnie teraz gdy jej tak bardzo jesteśmy potrzebni, moze ambicja moja wlasna wziedlaby góre i poszedlbym w swiat szukac szczescia.

gdzie indziej, nie pokazywać się na oczy, bo mnie wstyd. —

Nikt się nie spyta, gdzieś był, coś robił, co się z tobą działo, tylko każdy się dziwi dlaczego dopiero jestem plutonowym? Przecież takim zdolnym się wydawałeś? raczy zauważyć w końcu.

— Widzisz nietylko życie własne, przyszłość, zdrowie, trzeba ofiarować, ale i ambicję własną musisz też złożyć w ofierze. A przecież to najtrudniejsza ofiara, ale mówię ci, że taki jednak dumny jestem z naszej Polski Niepodległej, tak strasznie cieszę się z tego, że z każdym dniem coraz bardziej się ona krystalizuje, coraz szersze zatacza granice, że nie masz bracie pojęcia, to mię tylko trochę boli, że się w niej pokazać wstydzę na oczy, żeś taki mały w stosunku do innych. Sam już pokonałem swoją ambicję osobistą, tylko inni tego jeszcze zrozumieć nie mogą, a właściwie za głupi są, aby zrozumieć. —

— Dokąd jedziesz Władek? —

— Z plutonem pod Lwów. Tam trzeba pomóc, bo tam się tylko dzieci same biją. — A ty? —

— Mówiłem ci, chcę zobaczyć tylko co się dzieje w domu, a potem też wstąpię do najbliższego pułku. —

— Jako? —

— Jako kapral z 1914 r. —

— Jedną rzecz ci poradzę. Nie wstępuj teraz bracie do domu. Ot widzisz, ja parę dni zmarnowałem i teraz mi ich żal. W domu o ile się nic do tego czasu nie stało, to się i nadal nie stanie, a tam każda chwila droga. Wypełnij swój obowiązek zaszczytniej odemnie. Nie wstępuj do domu, lecz jedź razem ze mną. Wrócisz z pod Lwowa, to przynajmniej będziesz miał tą satysfakcję, żeś ani jednej chwili dla siebie nie poświęcił, lecz poszedł odrazu tam, dokąd cię obowiązek wzywał. Pomyśl chwilę i powiedz mi. Nie widziałeś tyle lat swojego domu i swoich, to pocierp jeszcze trochę, nic ci się nie stanie, a satysfakcję za to potem będziesz miał pełną. No co jedziesz? —

— Tak. —

— A dokąd? —

— Z tobą. —

I pojechali obaj pod Lwów, wezwani wewnętrznem poczuciem obowiązku.

W drodze Władek poweselał. — Słuchaj bracie — zaczął — wszystko furda, wszystko głupstwo wobec tego, żeśmy dożyli tej chwili, w której na własne oczy widzimy jak powstaje Polska coraz potężniejsza i wolna. Co znaczą moje poprzednie strapienia osobiste, wobec tego gdy sobie przypomnę te chwile, w których nieraz w Karpatach zadawaliśmy sobie pytanie, co będzie

gdy Rosja runie? Gdy nieraz myśleliśmy o tem czy dożyjemy tej chwili, w której zupełnie pewni będziemy naszego wroga, nie spotkamy po przeciwnej stronie Polaków i w której jasno sobie będziemy zdawać sprawę z tego co jest dobre a co złe dla Polski.

Dziś mamy jedno wyjście. Bić. Im lepiej będziemy bić, tem lepiej dla nas, tem weześnieiej oswobodzimy się sami od wszystkich wrogów, którzy nas teraz ze wszystkich stron obsiedli. Pod Lwów bracie jedziemy. Tam dzieci, chłopcy i dziewczynki niedorosłe się biją. Tam być, to nasz pierwszy obowiązek. Pomyśl od jak dawnych czasów my znowu staniemy w szeregu i będziemy brać udział w bitwach o Lwów, o Polskę, już teraz nie jako legjoniści, lecz żołnierze regularnej armji polskiej. Przecież myśmy zawsze o tej armji marzyli, a teraz spełniły się nareszcie nasze marzenia. —

.....

Spełniły się nareszcie marzenia Władka. Brał udział w walkach o Lwów, walczył już nie w Legjonach Polskich, lecz w armji polskiej i jako żołnierz Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej, padł na placu boju z karabinem w ręce, śmiertelnie rażony kulą nieprzyjacielską, w obronie jednego z miast kresowych, ponad wszystko umiłowanej przez siebie ojczyzny.

Kolega jego zaginał bez wieści.



Kapral.

Zimowa noc w Karpatach. Mróz silny, ostry, szczypie w policzki i palce. Cisza i nieprzerwany jęk gór, wstrząsanych echami dalekich wystrzałów armatnich. Noc rozjaśniona tylko grubą warstwą leżącego śniegu, pokrywającego wszystko naokół i okiściami gnącego gałęzie porozrzucanych po górach smreków, ku ziemi. Jak okiem sięgnąć, biel nieprzejrzana.

Na wzgórkach opodal grupki drzew, ciągnących się wąskim pasmem od ukrytego w lesie zabudowania, stoi na wedecie legionista, pilnie obserwując okolicę.

Stoi nierochomo jak słup drzewa nie poruszając się wcale.

Noc pełna oczekiwania. O Moskalach nic niewiadomo, ktoś coś bąknął, że mają zrobić nocny wypad, lecz w którą noc, o jakiej porze nocy i w jakiej sile, nikt nie wie.

Strzeże legionista wraz z innymi jeszcze wedetami, snu i bezpieczeństwa całej swojej kompanji, liczącej obecnie zaledwie 100 ludzi. Za pół godziny go zmienia.

Cisza, aż w uszach dzwoni. Godzina po 12-tej w nocy.

Utkwił wzrok na pobliskim małym pagórku, gdyż zdało mu się jakby przed chwilą przebiegł ktoś kryjąc się skulony pod wgłębieniem pagórka. Wybiegł z pobliskich drzew.

— Strzelać, czy nie? — przeszło przez myśl legioniście, a może to tylko uluda i przywidzenie niewyspanych oczu? — rozmyślał dalej. Jeżeli to Moskale, to wybiegnię ich przecież więcej a jeżeli jeden człowiek, lub co gorsza przywidzenie, obudzi tylko niepotrzebnie całą kompanję.

Postanowił nie strzelać, lecz pilnie obserwował wzgórze, przerzucając wzrok swój na lasek, czy przypadkiem drugi cień z niego nie wybiegnie? Po chwili na obserwowanym wzgórzu ukazała się postać jakaś mała i szła prosto w kierunku wedety, jakby na strzał, patrząc nie tyle przed siebie ile odwracając się ciągle do tyłu, jakby w obawie czy jej kto nie goni.

Przypuścił ją na kilkanaście kroków zatrzymując nagle okrzykiem: Stój, kto idzie? —

— Swój, swój, — odpowiedział prawie dziecinny głosik — nie strzelajcie obywatelu. Ręce już obie podniosłam do góry i broni żadnej nie mam przy sobie. Nie każcie mi leżeć na śniegu, lecz powiedzcie kiedy przyjdzie zmiana, bo chcę się dostać do waszego dowódcy. —

— Idźcie obywatelko do tego lasu odemnie na prawo, tam się dowiecie wszystkiego — odpowiedział żołnierz.

Z rękami zaplecionymi nad głową, udała się dziewczyna w wiejskim huculskim stroju do wskazanego lasu. Nie zatrzymywano jej już okrzykami.

Nadbiegł kapral, poprosiła aby ją zrewidował czy nie ma broni, pozwolił opuścić ręce i zaprowadził do dowódcy kompanji.

Do rewizji nie trzeba było kaprała namawiać, zabrał się do niej natychmiast żalując tylko, że może ją przeprowadzić pobieżnie.

Poszli we dwoje.

— Kim jesteście obywatelko — zapytał kapral — że nie bałście się tu przyjść na naszą stronę, przecież mogliśmy was zastrzelić, nim słowo zdążylibyście przemówić. Co was do nas przyгнаło, dlaczego jesteście w przebraniu chłopskiem, w którem wam bardzo do twarzy, lecz nie nosicie go stale i dlaczego chcecie się tak koniecznie dostać do dowódcy kompanji?

— Przedewszystkiem skąd wiecie, że mi do twarzy — odpowiedziała śmiejąc się przybyła — dalej, po co idę do dowódcy kompanji, to tylko jemu powiem, a nie wam, kim jestem, harcerką, strój chłopski wdziałam na siebie, by się łatwiej do was dostać i nie zwrócić na siebie uwagi, ale jednak musicie się tego bać Moskali, gdyście się tak obstawili wedetami. —

— Jakie z was jeszcze dziecko w tych sprawach obywatelko. My — i bać się Moskali. Wedety są i muszą być po to, aby koledzy mogli spokojnie spać — odparł nadąsany trochę kapral.

— I nie boicie się nic Moskali? —

— Czy wy kpicie ze mnie i z nas czy co, czy chcecie mi tylko dokuczyć? —

— I ani trochę? — drażniła się dalej dziewczyna — choćby ich tu przyszło nawet trzy kompanje? —

— Nie po to ich obywatelko stale szukamy, abyśmy się ich bać mieli. Nieraz nasza kompanja miała ich bataljon i więcej na głowie i nic nam nie zrobili a cóż dopiero mówić o poszczególnych naszych patrolach. Przyzwyczajeni jesteśmy do tego, że zawsze jest ich 5 do 6 na jednego naszego a nieraz to i przeszło 10-ciu i zawsze sobie z nimi jakoś radę dajemy. —

— Ho, ho toście zuchy, albo się nadto chwalcie. —

— Daj Boże, byście zobaczyli. —

— Zobaczę i to dziś, bo ich tu większa siła idzie na was i zdaje mi się, że gorzej będzie z wami —

— Zobaczymy! —

— A no zobaczymy! —

— A jak przegracie, to co będzie? —

— Nie przegramy, możecie być pewni, a zresztą kiedy idziecie z powrotem? —

— Nie wiem. —

Po bitwie, czy przed. —

— Po. —

— No to załóżmy się. —

— Dobrze, o co ?

Kapral spojrział na dziewczynę, oświecił ją beczelnie latarką elektryczną i szybkim spojrzeniem obrzucił ją całą. Spodobała mu się. Wysoka, młoda, czarne oczy z pod dużych rzęs były życiem i włosy w czarnych kosmykach wysuwały się z pod chusteczki, twarz zarumieniona od mrozu, życie biło z niej i coś aż do niej porywało.

— Piękne macie usta obywatelko — odparł, lecz złośliwie, gdy zwyciężymy Moskali, dacie mi je abym na przekór wam mógł wepchnąć swojemi wargami wasze poprzednie słowa. — I ona zastanowiła się na chwilę. — Dajcie no latarkę, teraz ja was oświecę — rzekła z uśmiechem — wet za wet, jak wybierać, to wybierać. —

Spodobał się jej przewodnik. Smukły i gibki jak smrek z górskich stron, pewny siebie, dumny z munduru polskiego, silny, młody i zdrów, z oczu szarych biło mu marzycielstwo, zaduma i tęsknota.

Dobrze, a gdy przegracie i gdy was Moskale pobiją ? —

— Gdy przegramy to niewielu z nas przy życiu pozostanie i ja też chyba nie, więc o tem nie mamy co mówić. —

Smutek chwilowo ich ogarnął, wiew śmierci przeszedł nad nimi. Zbliżyli się ku sobie gawędząc w drodze już bez docinków. Do dowódcy kompanji było jeszcze kawałek drogi. Dowiedzieli się, że ona jest córką naczelnika sądu z pobliskiego miasteczka a on uczniem gimnazjalnym z Krakowa.

Przed kwaterą żegnając, rzucił jej kapral na pożegnanie : — Więc pamiętajcie obywatelko o zakładzie. —

— Dobrze, dobrze — odparła znikając w drzwiach leśniczówki.

Dowódca kompanji zerwał się natychmiast na nogi, gdy go ordynans obudził. Wiadomości otrzymał bardzo ważne, bo ścisłe. O godzinie 4-tej nad ranem mieli Moskale napaść znie-nacka kompanję legionistów, sami w sile trzech pełnych rot po 250 ludzi każda i z dwoma karabinami maszynowymi.

Pozostawało jeszcze trzy godziny czasu. Czepredziej pchnął służbowych do dowódców plutonów, przybyłej harcerce odstępując swoją kwaterę, sam zaś udał się do innego pokoju, polecając ordynansowi osobistemu, przygotować naprędce co do zjedzenia i czuwać nad snem nieoczekiwanego gościa.

Poważne kłopoty spadły na ordynansa. Nic go nie obchodziła narada dowódcy kompanji ani też co się miało dziać za chwil jeszcze parę, gdyż wszystko to było niczem wobec tego zmartwienia, czem tu nakarmić tak nieoczekiwanego gościa kompanji.

— Konserwa jeszcze jedna była, ryżu gotowanego od obiadu też pozostało trochę, kawa czarna nawet z cukrem również była, ale czy to taka panienka, przelknie coś podobnego, a gdyby nawet przelknęła, to czy się nie rozchoruje po takiej uczcie? I jak tu jej zaproponować — myślał nieustannie — kto wie, czy ona coś podobnego wogóle kiedykolwiek jadła.

Gdy wreszcie po dokładnym namyśle odważył się wejść do dawnej kwatery kompanijnego z zapytaniem co zrobić do jedzenia, okazało się, że przedmiot jego zmartwień okrutnych spał snem kamiennym w ubraniu na łóżku dowódcy kompanji, tylko kierzpce góralskie i pończochy przemoczone zupełnie, leżały obok łóżka.

Pokiwał głową Jasiek, pończochy zawiesił nad płonącym kominkiem, dorzucił drew, ułożył obok kierzpce i wysunął się po- cichu z pokoju.

Nad tem, w jakiej sprawie przybyła ta ni panna, ni służąca nie potrzebował się zastanawiać wiele, ponieważ niedługo na- stapił cichy alarm całej kompanji.

Staął i Jasiek na zbiórkę, lecz dowódca kompanji natych- miast go wyrzucił, odsyłając do pilnowania śpiącej panienki.

Uśmiechnął się tylko z ochoty, choć niby markotnie, że nie idzie do bitwy, poszedł, na kwaterze zdjął buty, na palcach wszedł do pokoju, znowu dorzucił drzewa do staropolskiego ko- minka, przygotował wodę do mycia, wszystko jak należy, kierzpce już przesuszzone wysmarował tłuszczem, uszykował sobie wszystko do zagotowania kawy i usiadł pod drzwiami w drugim pokoju, aby czuwać nad snem przybyłej. Nie bardzo on tam w to wierzył, żeby coś z tego miało być, co tam wogóle „napaple kobita,” choćby niewiadomo jaka panienka, więc znowu duma- jąc nad tem, co jej podać do czarnej kawy na śniadanie, czy też może będzie wolala herbatę, czy chleb żołnierski, czy kawa-łek suchara i że jednak prawda, czy nie prawda to co ona po- wiedziała, ale dzielna to musi być panienka, że się nie bała przejść przez dwa fronty z wiadomością do swoich i tyli kawał drogi, w taki mróz przejść piechotą, sama w nocy przez lasy i góry, zdrzemnął się pod drzwiami w najlepsze.

Kompanja cała już cichaczem zajęła stanowiska. Lotem błyskawicy rozniosło się, że jakaś obywatelka przyniosła wiado- mość o nocnym napadzie Moskali. Każdy chciałby ją zobaczyć, co za jedna, jak wygląda, tyle już czasu żaden z nich nie widział oprócz miejscowych chłopów żadnej panny, każdy chciałby po- dziękować za ostrzeżenie, każdy wysyłał do niej westchnienia serca stęsknionego, lecz tymczasem wszyscy musieli leżeć cicho- w oczekiwaniu na wroga, przy siarczystem mrozie, klnąc na- czem świat stoi moskali, zakaz palenia papierosów i wszystko wreszcie co się tylko przekląć dało. —

Moskale nie nadchodzili. Mróz doskwierał coraz bardziej, coraz trudniejszem stawało się oczekiwanie, coraz większem zdenerwowanie i wreszcie coraz bardziej zaczęło się utrwać przekonanie, że cały napad, to tylko bujda.

Na huk kilkudziesięciu strzałów karabinowych, Jasiek zerwał się na równe nogi, nie mogąc sobie początkowo zdać sprawy z tego co się stało. Przyprowadził go do przytomności przestraszony głos przybyłej, wołający :

— Jezus Marja, gdzie ja jestem ? —

— W kwaterze dowódcy kompanji. — odrzekł Jasiek.

— Co to za strzały, czy moskale już natarli ? —

— Nie wiem, ale musi tak panienko. Ho, ho i maszynkę mają? — mruzczał do siebie Jasiek.

— A wy obywatelu czemu nie idziecie, czemuście zostali ? —

— Rozkaz mam dać wam jeść i czuwać przy was. —

— Jedzenie mi niepotrzebne, zaprowadźcie mnie na punkt opatrunkowy, tam się przydam. —

— I, co tam zawracać głowę obywatelko. Rozkaz mam, że macie zjeść, to i musicie. Co jest, to wam podam. Teraz wy na punkt nie macie po co chodzić, bo ranni dopiero później będą, a najeść się trza, boście zmordowana i sił wam potem braknie a zresztą mam rozkaz to jeść musicie. —

Harcerka widząc, że ordynans nie ustąpi, kazała sobie podać czemprędzej cokolwiek do zjedzenia i zaprowadzić się potem na punkt a tymczasem bitwa zawrzała na całej linii.

Moskale posuwali się cicho naprzód nie strzelając, pewni, że całą kompanję zastaną śpiącą i najwyżej zetrą się tylko z wedetami, legjoniści zaś czekali spokojni, opanowani, widząc ich prawie jak na dłoni, wymierzili dobrze i z bliskiej odległości kropnęli salwą.

Strzały były dobrze wymierzone, po stronie rosyjskiej odpowiedziały im odrazu jęki i przekleństwa, Moskale przypadli do ziemi otwierając silny ogień karabinowy i karabinów maszynowych. Pomimo strat oprzytomnieli jednak rychło. Wszak wiedzieli, że legjonistów było tylko 100 a ich 10 razy tyle, więc ze samą liczbą ich zgniotą.

Po stronie legjonistów ogień chwilowo osłabł, to dało moskałom asumpt do myślenia, że legjoniści ponieśli już wielkie straty, że bronić się będą coraz słabiej, że tylko pewność siebie i zdecydowany atak rozbiją ich i przyniosą moskałom łatwe zwycięstwo. Poderwali się w tym momencie, gdy dowódca kompanji rzucił im w bok jeden pluton, wyróżzał w nich jak taranem, skłębił, zmieszał nieprzygotowanych na to uderzenie i nieorientujących się czy i skąd legjonistom przyszły posiłki. Nim oprzytomnieli, tyraljera legjonistów poderwała się do ataku, wy-

pierając Moskali z zajętych stanowisk. Przekrzywiła się linja frontu. Prawe skrzydło Moskali wysunięte wprzód, zaczęło się wycofywać powoli a tymczasem legjoniści troili się w oczach. Uderzenie następowało za uderzeniem, atak za atakiem wśród nieustannego ognia karabinów i jęku rannych. Nie dali legjoniści ani na moment oprzytomnieć Moskalom, ani też zorjentować się co do sił swoich. Drugi atak oskrzydłający ich zupełnie, przeprowadzony z prawego boku, zdezorjentował moskali całkowicie, wywołując wśród nich popłoch i i powodując klęskę zupełną. Nie wycofali się, lecz uciekli.

Upojeni zwycięstwem zbierali rannych swoich i rosyjskich, legjoniści. Nowa wygrana natchnęła ich nową butą i pewnością siebie. Zazarta kilkogodzinna walka zda się nie wyczerpała ich wcale. Czarni od ziemi, prochu i trudu, lecz z gorączką niewygasłego jeszcze ognia zapалу w oczach, gotowi znówu na każde wezwanie skoczyć w bój do nowej walki, po nowe zwycięstwo, ze łzami w oczach patrzyli na poległych kilku kolegów.

Na ustach wszystkich było imię tej panienki, która przyniosła wiadomość o Moskalach, ostrzegła wszystkich i spowodowała zwycięstwo. Jej ono cakowicie przypisywali.

Ja, każdy radby choć na moment zobaczyć, podziękować, wyczytać w jej oczach podziw dla ich żołnierskiego trudu, męskości, odwagi i zwycięstwa.

Harcerka zajęta była przy opatrywaniu rannych.

Szukał jej kapral chcąc się o zakład upomnieć, bo słusznie mu się w jego przekonaniu wygrana należała, ale niestety nawet marzyć nie mógł o jej spotkaniu i zobaczeniu. Stale była przy rannych a oprócz tego kręcili się oficerowie i co chwilę któryś wpadał na punkt opatrunkowy niby to za interesem jakimś ważnym.

Kapral był lekko ranny w lewą rękę, lecz na myśl mu nawet nie przyszło, aby z taką raną zgłosić się na punkt opatrunkowy, gdyż wiedział, że najwyżej tylko aspiryny dostanie, kolega więc rękę mu opatrzył, a on sam za to ciągle krążył wokół budynków, aby nie stracić tego momentu, gdy ona wyjdzie. Chciał ją koniecznie spotkać samą a przy tem wszystkim i tego nie wiedział dokładnie, w którym z budynków ona w danej chwili się znajduje.

Nareszcie wyszła. Podbiegł do niej; przywitała go uśmiechem.

— Dokąd idziecie obywatelko? — zapytał.

— Chcę zaczerpnąć trochę świeżego powietrza i odetchnąć po tem wszystkiem. —

— A jak mój zakład obywatelko? —

— Jaki zakład? — zapytała?

— No dzisiejszy, nocny, nie pamiętacie, pocałunek mi się należy. —

Szli spacerem obok siebie oddalając się od chat w stronę strumyka górskiego.

— Przecież zakład przegraliście — odrzekła z zupełnym spokojem.

— Jakto przegrałem? — zakrzyknął zdumiony — czyśmy jeszcze mało Moskali natłukli? A któż u diabła według was zwyciężył? —

— Zwyciężyliście wszyscy, temu nie przeczę, ale wy obojście jesteście przecież pokonani, bo jak widzę postrzelili was w rękę. Więc z zakładu nie. Widzicie ja myślałam, że będziecie zwycięzcą tak jak mówiliście, a tymczasem należycie wprowadzić do zwycięzców, lecz sami jesteście ranni. Czy was bardzo boli? —

— Boli nie boli, to moja rzecz — odparł kaprał wściekły — ale nie myślałem, że harcerki nie dotrzymują słowa i umiać być tak wykrętne.

— Trudno, trzeba się było lepiej zagwarantować, — a tak, przepadło, — odrzekła ze śmiechem. Odprowadźcie mnie trochę. —

W kapralu aż kipiało wszystko, lecz nie dał tego poznać po sobie. Tysiące forteli w jednej chwili przeszło mu przez głowę. Nie darmo przecież został kapralem. Tyle patroli, tyle wedet, tyle wyprowadzeń w pole moskali, miał za sobą, a tu naraż masz, tak się dał nabrać. Postanowił na swoim postawić.

— Przepraszam was obywatelko — rzekł — zaczekajcie chwilę, tylko sobie bandaż poprawię. gdyż zdaje mi się, że mi krew cieknie. —

— Czekajcie, ja wam zmienię opatrunek. —

— Nie wiem czy umiecie, zresztą sam sobie dam radę. —

— Jakto nie umieć? Harcerką przecież jestem i prawie wszystkich dzisiaj sama opatrzyłam, — zaperzyła się oburzona.

— A nie urazicie mnie? —

— Nie bójcie się już nie, ja się też na tem znam nie gorzej jak wy na bitwach. —

— Zgoda obywatelko, ale o jedno was poproszę, stańcie z tej strony dobrze? — i gdy stanęła jak chciał, odwinęła mu bandaż i obie ręce miała przy jego ranie zajęte, on — objął ją silnie prawem ramieniem, przycisnął do siebie, ranną ręką dopomógł i przywarł ustami do jej warg młodzieńczych, cudownych, pijąc z nich rozkosz, miłość i zapomnienie.

Nie bronila się i odjęła swe usta, gdy tchu im zabrakło. Spłoniona i zarumieniona pochyłając się nad jego ręką szepnęła.

— Nie wiedziałam, że legjoniści są tacy niegodziwi i nawet chwilę opatrunku umieją wyzyskać.

Nagle nie wiadomo. skąd, po co, w jakim celu i dlaczego zjawił się na ten właśnie moment sam dowódca kompanji, pokazujący się jak zwykle zawsze tam, gdzie się go najmniej spodziewano i gdzie rzecz jasna dla wszystkich był niepotrzebny.

— Obywatelu Drag — wrzasnął na kaprala, — co wy wyrabiacie do ciężkiej cholery? —

— Zmieniam opatrunek obywatelu kompanijnego, — zameldował wyprostowany jak struna kapral.

— No to za tą zmianę opatrunku jutro staniecie do raportu. Wstyd psiakrew! No, no nie wiedziałem żeście taki ognisty. Niebierać kogoś na zmianę opatrunku i gdy obywatelka w najszczerzej wierze obie ręce ma zajęte i pracuje koło rany, jemu się całowania zachciało. Wypędze ja z was psiakrew te ognie, jeszcze wam mało jak widzę patroli. No, jutro zresztą pogadamy dokładniej. —

— Rozkaz! — zameldował w odpowiedzi kapral.

Nieoczekiwanej i całkiem niespodziewanej pomocy udzieliła skonfundowanemu kapralowi harcerka.

— Obywatelu kompanijnego — zawołała zatrzymując już odchodzącego i czerwona jak upiór ciągnęła dalej: — Obywatel Drag nie nie winien, to ja sama, bo wy nie wiecie, myśmy się wczoraj założyli, że o ile zwyciężycie Moskali, to mam go za to pocałować, więc, więc ja zakład przegrałam i musiałam wygraną oddać. Nie bierzcie go obywatelu do raportu. —

— Hm, hm, — mruknął kompanijnego. Czy wy prawdę mówicie obywatelko, czy też żal wam kaprala? —

— Prawdę mówię obywatelu. —

— No dobrze a ten opatrunek długo jeszcze potrwa? —

— Zaraz skończę. —

— Kończcie prędzej i wracajcie na kwaterę, bo przed wyjściem musicie odpocząć, a z kapralem i tak sobie jeszcze podagam — odpowiedział i odszedł, mrużąc do siebie: —

„Psiakrew taki kapral to ma cholera szczęście a na mnie to nawet nie spojrzała, no co się zresztą dziwić, młodszy odemnie o cztery lata, to i wolała jego.” —

— Wolałbym nie wiem jaką karę odpiąć, niż to, że on nas zobaczył — odezwał się kapral po odejściu kompanijnego.

— A ja co mam powiedzieć? Teraz cała kompanja będzie o tem wiedzieć i na oczy nie będę się mogła nikomu pokazać. —

— Ee, co to, to nie obywatelko, za to wam ręczę, że kompanijnego ani słówka przed nikim nie piśnie, bo to morus chłop; że ja tam coś oberwę, że mi nie daruje i przynajmniej sprawi kazanie jak się należy, to inna rzecz, ale że nikomu nic nie powie, to mur. —

— To gdybyście coś oberwali, toby dla was było nawet dobrze, za to, żeście mnie nie chcieli odprowadzić. —

— Jakżesz miałem was odprowadzać, kiedy mnie tak z punktu przywitaliście i tak kategorycznie powiedzieliście o mojej przegranej. —

— Tak a wyście myśleli, że po bitwie wybiegnę do was naprzeciw z rozkrzyżowanymi rękoma i będę wołała na cały głos: „Panie kapral niech mnie pan pocałuje, bo pan wygrał zakład.“ — Prawda? —

— Darujcie obywatelko, no, głupi jestem, nie gniewajcie się już na mnie, ale za to, pochylił się całując jej rękę — pozwólcie mi się teraz odprowadzić. Czy wracacie zaraz na kwaterę?

— Jeszcze trochę mogę się z wami przejść, ale niedaleko, — odrzekła.

.....

Wieczorem przed odejściem harcerki, zwrócił się do niej dowódca kompanii mówiąc: — Dziękuję wam jeszcze raz obywatelko w imieniu Polski za wiadomości, ale teraz mówię wam, że jestem naprawdę w kłopotcie, gdyż sam nie wiem kogo mam przeznaczyć do odprowadzenia was. Chętnych byłoby wprowadzić wielu, ale tak są wszyscy pomordowani, że formalnie walą się z nóg, a przy tem rannych muszę odesłać do szpitala. —

— Obywatelu kompanijnym — odezwała się harcerka — kapral Drag mówił mi przed chwilą, że czuje się zupełnie dobrze, do szpitala nie chce iść i nie czuje się wcale zmęczony.

— A więc o niego się wam rozchodzi? —

Splonęła cała mówiąc: „Nie obywatelu wcale mi się o niego nie rozchodzi, tylko jeżeli inni są pomęczeni, to onby mnie odprowadził. —

— A nie wiecie gdzie on jest teraz? —

— Czeka przed kwaterą. —

Kompanijnym uśmiechając się kazał go zawołać ordynansowi.

Po zameldowaniu się kaprala Draga, wydał mu kompanijnym rozkaz odprowadzenia poza pierwsze wedety harcerki, przestrzegając przed wysunięciem się zadaleko, by sam nie wpadł w ręce Moskali i dodał w końcu:

— „Ale pamiętajcie, żebyście więcej zakładów już nie robili, bo potem przy rozgrywkach podejść was bardzo łatwo.“ —

— Tak jest obywatelu, chyba o następną bitwę dopiero. —

— A jak z raną? —

— To nie jest rana a właściwie zadraśnięcie i ładować karabin mogę zupełnie dobrze.

I poszli oboje przytuleni do siebie w ciemną noc zimową, szczęśliwi, że są razem, z pragnieniem, aby to przejście niebezpieczne skończyło się jaknajprędzej i równocześnie, aby podróż ich jaknajdłużej się ciągnęła. Przeszli wedety nasze i zniknęli w borach ciemnych i ponurych, dających ochronę, lecz i pełnych najrozmaitszych niespodzi anek i możliwości natknięcia się na patrol lub czujkę nieprzyjacielską.

Szli cicho, skradając się jak koty, przemyskając się niepostrzeżenie wśród drzew, ze skupioną uwagą i napiętymi nerwami. Prowadził ją kapral po swojemu, karabin naładowany trzymał w pogotowiu, gotów w każdej chwili do boju o nią, zbawczynię kompanji i obecnie wybraną jego serca młodego. Przeprowadził nietylko przez teren wolny, lecz i wąwozami poza pierwsze linje moskiewskie i pożegnał, gdy już zupełnie była bezpieczną i gdy niedaleko już miała do domu.

Nie mógł się od niej oderwać, wreszcie odszedł marząc o tem i modląc się do Boga (choć niby jak to sam twierdził, w nic nie wierzył), aby bitwy takie co chwilę się zdarzały i aby ona stale o bitwach tych przynosiła wiadomości.



W y w i a d .

Kapral Drag od czasu nie tyle pamiętnej bitwy, ile pamiętnego dla niego przejścia i przyniesienia wiadomości przez harcerkę, a potem jej odprowadzenia, nie mógł sobie dać rady, ani też znaleźć miejsca.

Nie nie pomogły patrole, placówki, następne potyczki, czy boje, nie pomogły nieprzespane noce, wychudł na kość, szczyrniał cały, gorączka mu się w oczach paliła lecz mimo tego nie mógł niczem zabić w sobie coraz bardziej pożerającej go za widokiem harcerki, tęsknoty.

Wódki nie lubił a przy tem harcerzem był przecież i choć już teraz jako żołnierz zwolnionym od przestrzegania prawa harcerskiego, jakoś nic go do alkoholu nie ciągnęło. Używał go tyle, ile to było koniecznem do poderwania i podtrzymania sił. Karty też dla niego nie miały żadnego uroku. Chciał zapomnieć więc nurzał się czasami w wesołości, rozśmieszał kolegów, lecz i to mu nie nie pomagało, przeciwnie nawet, po każdym szaleńszym wybuchu w tem większą popadał zadumę, tem większy ogarniał go smutek i tęsknota.

Rwał się na placówki pewny, że tej nocy ona z pewnością przyjdzie z wiadomością, to znowu w nocy nieraz zrywał się i wybiegał na dwór gnany jakąś niepojętą siłą i tą pewnością, że ją spotka, że przyszła znowu i wracał zawsze z coraz większem rozczarowaniem.

Śnił o niej, marzył, zjawiała mu się po nocach przecudna cała i niezapomniana. Nieraz głuchą nocą w ciemnym borze, gdy wracał lub szedł na patrol, zdawało mu się, że ona idzie przy nim, że krok w krok przytulona do niego postępuje obok, pełna lęku, przed tem co ich spotkać może a równocześnie i pełna zaufania w jego męskość, siłę, spryt i odwagę, niemal namacalnie czuł drzenie jej ciała przy sobie. Oddała mu swe usta i znamiona tych ust pięknych i świeżych miał ciągle przed oczyma.

Walczył, chciał powrócić do dawnej beztroski i wesołości żołnierskiej, lecz nie mógł. Uczucie spadło nań nagle, nagłością swoją tem silniejsze i spotęgowane jeszcze tem, że sam był sierotą, że nie wiedział co to pieszczoty macierzyńskie, że teraz w twardem swem życiu napotkał odruch ciepła i miłości; który też zagarnął go całego w swoje posiadanie.

Nakoniec poddał się. W marzeniach o niej znajdował ukojenie, w wolnych chwilach myślał tylko o niej a w bitwach i na każdym kroku starał się postępować tak, jakby ona stale była przy nim i stale na niego patrzyła.

Podzielił swój czas na pracę i na złote, ułudne lecz cudne marzenia. Bolało go tylko jedno, że gdy zginie, nikt nawet nie

będzie wiedział jak ją o jego śmierci zawiadomić, bo nawet o nazwisko jej nie zapytał.

W kompanji nie domyślali się niczego a kompanijny usta miał zamurowane i o dziwo nawet mu najmniejszej wymówki nie uczynił. mitygował go tylko, gdy ten już zanadto rwał się do służby i nieraz rozkazem zmuszał do wypoczynku.

Jako świętość hodował ją Drag w swoim sercu a naj-rozkoszniejsze dla niego były te chwile, gdy usypiając budził się nagle i zrywał, ponieważ miał wrażenie, że usta jej cudne, rozkoszne spoczęły na jego wargach, lub też, że kosmyk jej włosów czarnych musnął mu twarz jakby pieszczotą, lekką, powiewną.

Marzenia i praca, dały mu ukojenie.

W ostatnich czasach jakaś cisza pełna niepokoju wisiała w powietrzu. Patrole nie przynosiły żadnych wiadomości, w okolicy także żadnych bitew nie było. Mogła to być dłuższa przerwa w zwykłych rozgrywkach bojowych, lub też przygotowanie do silniejszego ataku. Wiadomości jednak znikąd nie dochodziły.

Słał dowódca kompanji ciągle patrole, lecz te przychodziły z niczem, patrole rosyjskie pokazywały się bardzo rzadko i słabe, wiadomości zaś musiał dowódca zdobyć za wszelką cenę. Zawołał raz do siebie kaprała Draga.

— Drag, pojedźcie do harcerki. — wyrzekł.

— Rozkaz obywatelu komendanciel — zameldował Drag usiłując ukryć bijącą mu z twarzy radość.

Byliście już kiedy w najbliższem od nas miasteczku? —

— Nigdy w życiu. —

— Więc jakże traficie? —

— Dam sobie radę. Czy mam iść sam i kiedy? —

— Nie, pojedziecie jako furman znajomego gazdy w przebraniu chłopskiem. Czy umiecie mówić po rusku? —

— Dosyć dobrze, zresztą nie wiele będę się ódzywał, niech mówi gazda a ja zostanę mrukiem. —

— Co wam potrzeba na drogę? —

— Ubranie skąd wezmę?

— Dostarczę wam gazda. —

Kaprał pomyślał trochę i odezwał się po chwili.

— Potrzebne mi dwie kury i garnuszek masła. —

— Po co? —

— Nie wiem kogo spotkam w jej domu. Wiem, że ojciec jest naczelnikiem sądu, pójdę przecież przez kuchnię, więc gdybym spotkał służącą powiem, że to przysyła mój gazda i w ten

sposób każe poprosić ojca lub córkę. Z nimi już sobie dam radę. —

Dlatego was posyłam, ponieważ sądzę, że ona was najlepiej zapamiętała i wobec tego żadnych legitymacji, ani też zaświadczeń wam nie potrzeba. Dowiedcie się krótko co słychać. Co znaczy ta cisza u Moskali, jak są rozstawieni, w jakiej sile i co zamierzają? Każdą nawet najdrobniejszą rzecz notujcie w pamięci, bo wszystko może się przydać a może, jeżeli moskale chcą teraz odpoczynku, to my ich będziemy musieli odwiedzić. Pieniądze na kury i masło wam dam. Projekt dobry, tylko ciekaw jestem skąd wy tu w miejscu naszego postoju wydobędziecie kury. Mam wrażenie, że wszystkie już zjedzone. —

— E, nie obywatelu kompanijny. Tak znowu źle nie jest, tu porządni ludzie, zresztą jeść mamy jeszcze co tak, że kury dotychczas chodzą. Co prawda nie wiele ich jest, ale jeszcze są.

— Przygotujcie sobie dzisiaj wszystko, bo jutro nad ranem wyjedziecie. Zameldujecie się u mnie, gazda też tutaj będzie i pojedziecie razem. Jutro targ w miasteczku więc powinno się wam udać, O wyjeździe nie mówcie nikomu a tam miejcie się na baczności. Razem z gazdą wróćcie, on drogę zna, lecz nie mówcie mu do kogo idziecie, lepiej niech nie wie. Jeżelibyście mieli jeszcze jaką niepewność, możecie do mnie przyjść z zapytaniem. Teraz odejdźcie. —

— Rozkaz! — kapral zrobił w tył zwrot i odmaszerował.

Gajowemu, do którego kapral miał największe zaufanie, polecił postarać się o kury i masło. Ciekawość jego skąd to kapralowi w dzisiejszych czasach przyszła ochota na takie smakołyki, uspokoił tem, że są imienny jednego z oficerów w bataljonie i dowódca kompanji chce mu to przesłać w prezencie a po-zatem dodał, że może to kosztować ile chce, lecz kury i masło do godz. 22-giej, muszą być na miejscu.

Ciemno było jeszcze zupełnie gdy wyjechali.

— Gazda — odezwał się po drodze kapral — powiedzcie no mi jak ja się nazywam, jak długo u was służę, ile dostaję na miesiąc, jakie macie gospodarstwo, ile koni, krów, żon, dzieci i innego dobytku, abym wiedział i żebyśmy się nie zasypali, gdyby nas kto pytał i aby każdy z nas nie gadał co innego. —

— A no racja panio. Nazywacie się Hryć Iwanenko, służycie u mnie od roku za wikt i przyodziewek, gospodarstwo mam nie wielkie, ale gadajcie, że 15 morgów, konia, 3 krowy, 100 owiec, żonę jedną i dzieciek pięć, hałupę stajnię, oborę i tyło. —

Gazda był Polakiem osiadłym tu dosyć dawno, lecz mimo to zaczął jeszcze po mazursku.

— Gazda a pamiętajcie, że ja jestem niemrawy i nie wiele będę mówić, bo jeszczeby kto mógł poznać, że u mnie z językiem ruskim niebardzo. —

— Dobrze panie kapral.

— Ale, ale gazda, tylko pamiętajcie skończyć z tym panem kapralem, bo jeżeli mię tak przy innych uszlachcicie w miasteczku, to nam już więcej nie będzie potrzeba. Mówcie per ty jak należy i basta. —

Do miasteczka dojechali szczęśliwie. Furmanek było dużo jak to w dzień targowy, więc też nikt na nich nie zwrócił specjalnej uwagi. Ot zapytali skąd jadą i poco a widząc u chłopca i jego parobka rzeczy na sprzedaż, lub na wymianę na sól, nie robili im żadnych trudności, tembardziej, że gospodarz oddał parę jaj żołnierzowi stojącemu na szosie. Front był rozrzucony, nierówny, wojna właściwie partyzancka, tak, że przedostanie się nie przedstawiało się tak bardzo tragicznie, tembardziej, że z chwilą przebycia polskich placówek, można się było tłumaczyć, że wioska ta z której jadą, jest pod Moskalami.

Po przyjeździe do miasteczka, gdy już gazda wyszukał miejsce dla konia, kaprał zabrał kury i masło, umówił się z gazdą, że się z nim po załatwieniu swoich spraw spotkają przy koniu i ruszył na poszukiwanie domu swojej wybranki.

O wpół do dziesiątej zapukał z drżeniem serca do drzwi kuchennych mieszkania harcerki. Otworzyła mu młoda, uśmiechnięta, o pełnych kształtach służąca. —

— Czego chcesz? — zapytała nie wpuszczając do wewnątrz.

— Czy tu mieszka pan naczelnik? — odpowiedział pytaniem.

— Tu, ale czego chcesz? —

— Mnie tu przysłał gazda i kazał oddać dwie kury i ten garnek masła. —

— A kto mu kazał, kiedy pan naczelnik dopiero wyszedł i z nikim jeszcze dzisiaj nie rozmawiał? —

— Tego ja nie wiem, może wcześniej zamówił, i kazał przynieść nie moja rzecz. Kazali gazda przynieść, taj i przyniósł ja. —

— No to zostaw w kuchni i przyjdź potem po pieniądze. Na obiad pan naczelnik wróci. —

Kaprał wszedł do kuchni, pomału wydostał z koszyka kury, oddał w ręce dziewczyny, a gdy wróciła dał jej masło, prosząc o zwrot garnka.

— Teraz nie mam czasu, jak przyjdiesz po pieniądze, to garnek będzie pusty. —

— A możeby panienska dała mi z herbaty gorącej garnuszek, a to ja dzisiaj od rana w drodze i przemarzę bardzo.

— Widzicie go, herbaty mu się zachciało. Jak ci zimno to nie trzeba było jechać, nikt cię nie prosił, a nie ledwie włożył, odrazu prosić jak żebrak. Skaranie boskie z tymi ludźmi. —

— Ha no, jak panienska nie chce obejść się muszę, ale może chociaż zagrzać się trochę panienska pozwoli? —

— A cóż ty myślisz, że ja tu jestem od zagrzewania pow-

sinogów, albo dom naczelnika to taki, że każdy tu może przyjść się zagrzewać ?

— Hm, hm, nie bardzo to widać panienka gościnna, nawet miejsca w kuchni żałuje. —

— A tobie chamie co do mojej gościnności, widzisz go, na podpatrunek chyba przyszedł, albo co i gwałtem chce się rozlokować w kuchni. Ładnie bym ją wyglądała jakbym tak wszystkich co tu przychodzą chciała zagrzewać herbatą i lokować w kuchni. Załatwiłeś swoje, to idź i przyjdź wtedy, kiedy ci mówię. Skaranie boskie z tymi włóczęgami — mruczała dalej do siebie — drzwi się za nimi nie zamykają a każdy chciałby tylko coś wyprosić albo i ukrąść. Idziesz ty już czy nie ? — zwróciła się znowu do niego. —

Kapral udał, że się oburzył, tembardziej, że przecież musiał kogoś z domowników zobaczyć, odezwał się więc ostro :

— Panienko, mogliście wymyślać mi od wszystkich, ale nie od złodzieji, bo ja żadnym włóczęgą nie jestem ani po żebrach nie chodzę, przyszedłem z tem com miał przynieść ale na naczelnika czekać, ani też później przyjść nie mogę, bo gazda czeka na pieniądze. Bez pieniędzy soli nie kupi a wracać nam trzeba rychło, bo to wojna jest a nie żadne żarty i wieczorem nikogo nie puszczają. Zawołaj no panna kogo innego jak pana nie ma, żeby mi za kury i masło zapłacił i pójdę sobie swoją drogą, bez ciepła takiej pyskatej panienki. —

— Hale, widzicie go, jeszcze ci może panienki zawołać co, od pyskatej mi będzie wymyślał cham jakiś ze wsi, parobek. Wynos się pókim dobra a przyjdź wtedy kiedy ci kazałam. —

— Dobrze, tylko niechno panienka odda te kury i masło z powrotem. Gazda chciał widać wygodzić panu naczelnikowi, bo choć go coś 50 ludzi po drodze zagabnęło, nikomu nie sprzedał. O pieniądze się dzisiaj nie trzeba prosić. Ale jak panienka taka mądra, to niechże tu wszyscy zostaną bez masła i kur, ino ja to ciekaw jestem kto wam dzisiaj sprzedaje kury albo i masło. ? —

Służąca całkiem nie wiedziała co robić. Zorjentowała się, że się zagalopowała zadaleko, kur i masła rzecz jasna oddać nie chciała, bo te w dzisiejszych czasach były rzeczą bardzo trudną do nabycia a cofać się nie wypadało, postanowiła więc krzykiem jako tako uratować sytuację.

— Widzicie go, całkiem chłop głupi — wymyślała ile pary w płucach — albo jakiś pomyłony, to mówi że przyniósł kury i masło, że je już naczelnik kupił, to znowu chce to zabierać z powrotem, to . . .

Wtem weszła córka naczelnika, do której poselstwo było wyprawione i nie spostrzegłszy w pierwszej chwili zasłoniętego przez służącą kaprała zapytała :

— A co tu znowu za awantura Kasiu ? —

— Bo proszę panienki przyszedł ten tu . . . lecz nim skończyła mówić, stanęła z rozdziawionymi ustami i zdumiona na środku kuchni, gdyż panienka po zobaczeniu przebranego kaprała, doskoczyła do niego z okrzykiem: — Jurek, to pan, wy, ty? . . . i na potakujące jego skinienie głową, uchwyciła go za ręce ciągnąc za sobą do pokoju.

Oszołomionego nieco tem wprowadzaniem bez żadnej ceremonji i tajemnicy przed służącą, posadziła na krześle w stołowym pokoju i zarzuciła tysiącem pytań, skąd, po co, jakim cudem, kiedy, dlaczego, a po zaspokojeniu pierwszej ciekawości, zawołała nie mogącą jeszcze przyjść do siebie ze zdumienia Kasię i kazała jej natychmiast podać śniadanie.

Byli sami, gdyż była jedynaczką a matki nie miała. Po spożyciu śniadania zwróciła się do Kasi:

— Teraz niech nam Kasia nie przeszkadza, bo mamy ważne rzeczy do omówienia.

Ale panienko, bo panicz jeszcze się spóźni i nie kupią soli a chcieli pieniądze za kury i masło, bo im potrzebne — uznała Kasia za stosowne stanąć w obronie czasu tak zwymyślanego przez siebie przed chwilą kaprała, sądząc, że w ten może sposób dowie się czegoś o tem całym dziwnem i w żaden sposób niezrozumiałem dla niej wydarzeniu.

— Moja Kasiu, tam Kasia zrobiła awanturę, tu mi Kasia znowu zawraca głowę jakiemiś kurami i solą, niechno Kasia idzie lepiej do kuchni i oprzytomnieje. Obiad dzisiaj na trzy osoby. —

— A czy jedną kurę zabić można? —

— Skaranie boskie. Czy Kasia sfiksowała, jaką kurę. Moja Kasiu, niechże mi Kasia nie zajmuje czasu i idzie do swojej pracy, bo obiad musi być wcześniej, gdyż panu Dragowi się spieszy i ojciec też niedługo powróci. —

Nic nie rozumiejąc i kiwając tylko głową, wyszła Kasia do siebie.

Oni tymczasem usiedli obok siebie na stojącej pod ścianą otomanie, trzymając się za ręce, wpatrzeni w swe oczy, każdym ruchem i drgnieniem ciała lgnący i rwący się ku sobie, szczęśliwi spotkaniem a równocześnie onieśmieleni innymi warunkami spotkania i nagłością ukojonej tęsknoty.

— Więc pan, więc ty — zaczęła pierwsza — nie bałeś się i przyszedłeś w dzień, ty jeden z całej kompanji? Chciałam ja iść do was, lecz nie było z czem. Nie było nic takiego dla czego wartałoby ryzykować życie. Czasem tęskniłam, chciałam zobaczyć butnego kaprała, ale iść nie mogłam. —

— Słuchaj Maryś, odpowiedz szczerze. Spotkałiśmy się przypadkowo z tem, że może więcej w życiu już się nie zetknziemy. Wojna, o przyszłości śnić nie można, bo nikt dziś nie wie, co go za parę minut czeka. Przyszedł do nas i spłynęłaś ku

mnie jak sen i jak sen odeszłaś; sądziłem, że to przelotna rozrywka i przyznam się, że walczyłem ze wspomnieniami o tobie a jednak w końcu, uległem. Ja sobie miejsca znaleźć nie mogłem w kompanji, co dzień, co noc wyczekiwałem twojego przyjścia, bo co do mnie, to wiesz, że wyjść mi nie wolno. Naprzekór rozumowi, pokochałem. Z początku nie wiedziałem co robić ze sobą. Chciałem o tobie zapomnieć, nie mogłem. Wreszcie przyszło ukojenie. Czas podzieliłem pomiędzy służbę i myśli o tobie. Zdawało mi się nieraz, że jesteś przy mnie, czasami jakby niemal namacalnie czułem cię obok siebie a potem miałem wrażenie, że stale i zawsze mi towarzyszysz. Powiedz, czyś myślała o mnie i może dlatego zdawało mi się, że wszędzie jesteś razem ze mną? —

— Owszem myślałam, bo bałam się o ciebie. Przecież to wojna i ty w każdej chwili możesz zostać zabitym, a ja, w tych warunkach nie wiedziałam nawet do tej chwili czy ty jeszcze żyjesz? Przecież o śmierci twojej niktby mnie nawet nie zawiadomił. Sama jestem tylko z ojcem, więc myślami swemi stale byłam przy tobie, bo i ja ciebie Jurku pokochałam. Wojna. Jak długo ona trwać jeszcze będzie, nie wiadomo. Co nas czeka, tego też nikt nie wie. Ja sobie siedzę spokojnie w domu a ty stale na froncie a do tego jeszcze rozdzieleni jesteśmy linją nieprzyjacielską. O mnie możesz być zupełnie spokojny. Wtedy mi tylko grozi niebezpieczeństwo, kiedy idę do was, lecz to się dopiero raz zdarzyło a kiedy drugi raz nastąpi nie wiem, tembardziej, że wy obecnie zaczynacie przysyłać a gdy Moskale stąd wyjdą, żywot już będę miała zupełnie spokojny zdaje się i cichy. Myśleć jednak i martwić się nie mamy po co. Zobaczmy co będzie, sami nic nie wymyślimy. Tyś na służbie i ja też jestem na niej po części. Nie myślmymy o przyszłości naszej, lecz żyjmy tą chwilą, którą mamy przed sobą. Być może przetrwamy wszystko a tymczasem miłość nasza niech da nam może siły do przetrwania. Powiedz mi jak przeszedłeś? —

— Gdy mi dowódca dał rozkaz wyjścia, myślałem, że do nóg mu padnę z radości. Przejście moje nie jest tak niebezpieczne jak twoje. Jadę w przebraniu, lecz pistolet mam. Żywcem mnie w żadnym wypadku nie wezmą a w popłochu, gdyż z mojej strony nie będą się spodziewali strzału, zawsze się im wymknąć zdolam. A zresztą furda wszystko. Nic mi się nie stanie, bądź tylko stale przy mnie jak byłaś dotychczas, dziewczyno ty moja. —

Czas mijał im niepostrzeżenie, Zarzuciła mu rączki na szyję, tuląc się do niego. Wpatrzeni w siebie, wsłuchani w dźwięk swych własnych głosów, w wyznaniach, zapomnieli niemal o świecie całym. Drgnęli na dźwięk dwonka. Pobiegła otworzyć pozostawiając go samego.

— Ojciez gościa mamy. — przywitała powracającego ojca. Skąd, co za gość? —

— Z drugiej strony, legjonista kapral, przyszedł po wiadomości? —

— A ty skąd wiesz, że to legjonista, a może to podstęp? — zatrwożył się ojciec.

— Znam go przecież, jest z trzeciego pułku Legjonów. Gdym przechodziła do nich, on mnie zaprowadził do kompanijnego i z powrotem on mnie przeprowadzał przez placówki.

Mówiłam już o tem ojcu. —

— A prawda, więc to ten sam? —

— Tak. Chciałabym żeby go ojciec ponał. —

No chyba teraz jak jest, to go muszę poznać. —

— I żeby się ojciec sam przekonał, że on jest odważny tak jak opowiadałam. —

— No, no, żeby tylko do ciebie nie był zanadto odważny — uśmiechnął się ojciec, obrzucając córkę spojrzeniem. Zaczernienia się po uszy i czemprędzej poszła pierw za do pokoju, prowadząc ojca.

Wiadomości nie było żadnych, Moskale widocznie na innym odcinku przygotowywali się do uderzenia, tutaj panował zupełny spokój. Naczelnik sądu, żył dobrze ze wszystkimi oficerami rosyjskimi i wiadomości miał dobre i pewne. Wiedział dokładnie o sile, o ilości i miejscu nawet poszczególnych placówek i cały dokładny plan rozlokowania sił rosyjskich podał kapralowi, wskazując niemal ile wedet wystawiały poszczególne placówki.

Sprawa służbowa została załatwioną. Legjoniści mogli być zupełnie spokojni, tembardziej, że gdyby coś ważniejszego zająć miało, przyrzekł naczelnik wysłać natychmiast swą córkę z wiadomością. Potoczyła się więc dalej rozmowa na temat walk legjonowych, wyżywienia, uzbrojenia, stosunku władz austriackich, wreszcie Kasia ciągle jeszcze zdumiona podała obiad.

Naczelnik, który już raz zajął się wywiadem na rzecz legjonistów, na pierwszy rzut oka odrazu się zorientował, że kaprala przygnała tu nie tylko służba, tembardziej gdy sobie przypominał entuzjastyczne opowiadania swej córki po powrocie o kapralu i gdy zobaczył, że ten ostatni był ogromnie rad i ucieszony z możliwości załatwienia poleconego mu zadania. Tak samo i co do swej córki zorientował się także natychmiast, że przyście kaprala nie było jej zupełnie obojętne. Do stołu kazał im siąść obok siebie mówiąc:

— Macie pod stołem telefonować nogami, przyczem i ja bym mógł coś przez pomyłkę oberwać, to już lepiej siedźcie obok siebie, ale nie radzę wam deptać sobie po nagniotach, bo to przyjemność niewielka. Po obiedzie zostawię was na chwilę samych, o ile panu kapralowi jeszcze czas na to pozwoli. Nie ukrywajcie się, bo i tak wiem wszystko. Wystarczy przecież tylko rzucić okiem na wasze rozmodlone do siebie miny. —

Poczerwienieli obydwójce, spoglądając z wdzięcznością na ojca.

Przy obiedzie naczelnik wypytywał się szczegółowo kaprała o jego stosunki rodzinne, zawód cywilny; o zamiarach na przyszłość nie mówili zupełnie, bo przecież jedna kula mogła wszystkie plany i zamiary przeciąć na zawsze. Kaprał opowiadał wszystko szczerze. Nie wiele miał do opowiadania sam jeden sierota na świecie. Wytworzył się bardzo miły nastrój. Harcerka Marysia pragnęła na pamiątkę wojny dostać skąd kindżał czerekieski, ale taki prawdziwie zdobywczy, nie kupiony lub подарowany. Obiecał go kaprał dostarczyć, mówiąc, że mają ich dosyć. Ponieważ cała trudność polegała na tem, że dostarczenie narażało na niebezpieczeństwo i przynoszącego i tego, który podobne rzeczy przechowywał, więc umówili się, że po wypędzeniu Moskali kindżał ten, sam kaprał doręczy. Obecnie podczas pobytu Moskali kupić ich można było dużo, lecz kupny kindżał w oczach Marysi nie posiadał żadnego uroku.

Czas mijał szybko. Zostali chwilę jeszcze po obiedzie i sami, lecz już żegnać się trzeba było, bo dzień krótki a droga była daleka i niepewna. Ostatni raz ją uścisnął, jeszcze jeden pocałunek i poszedł Drag do jej ojca.

— Panie naczelniku, — zaczął.

— Co chcesz chłopcze powiedzieć? — zwrócił się do niego naczelnik po ojcowsku. — Ciężko ci, prawda?

— Panie naczelniku — powtórzył Jurek — ja chciałem powiedzieć, że kocham panną Marysię tak całym sercem, jak tylko mnie stać na to, nie chciałbym jednak żeby pan myślał o nas co złego. Oprócz tego ja nie przecież mówić nie mogę, ani też jej niczem związywać, bo jutro mogę być trupem, lub nie daj Boże zostać inwalidą, więc wiązać jej jakimkolwiek przyrzeczeniem i nie chcę i nie mogę. To chciałem tylko powiedzieć i dodać, że choć serce mnie tu ciągnie i choć jako rosyjski poddany w wojsku austriackiem nie potrzebowałbym służyć, Legjonów jednak rzucić nie mogę, bo walkę naszą ukochałem ponad wszystko i uważam ją za swój pierwszy i święty obowiązek. —

— Synu mój — odrzekł naczelnik, kładąc mu rękę na ramieniu — jabym was wszystkich gdybym mógł przytulił do serca. Pracujemy wszyscy dla jednego celu i wspólnej nam wielkiej idei. Sprawy osobiste choćby najbardziej kochane muszą jej ustąpić. Zrozum, że ja Maryskę, swoją jedynaczkę sam wysyłam do was poprzez dwa fronty, choć przecież dokładnie sobie zdaję z tego sprawę, co ją spotkać może i że w ten sposób mogę ją na zawsze utracić. Droższe mi jednak życie kilkuset, czy kilkudziesięciu legjonistów niż mojej jedynej i najukochańszej córki. Kochajcie się, niechże miłość wasza będzie wam podniętą w pracy. Brudu się nie lękam, bo zdaje mi się, żeś człowiek uczciwy i szlachetny a i ona jest przecież przezemnie wychowa-

na i tajemnie narazie przedemną nie ma żadnych. Milej mi będzie wiedzieć to, że gdy ona znowu pójdzie do was, ty nad nią roztoczysz swoją opiekę i całą miją odprowadzisz z powrotem. —

Za całą odpowiedź kapral Drag pochylił się do ręki ojca, lecz ten przycisnął go mocno do piersi, składając pocałunek na jego czole.

Przeszli obaj do pokoju stołowego.

— No pocałujcie się przy mnie na pożegnanie bo niewiadomo kiedy się znowu spotkacie w życiu. — odezwał się naczelnik. Jak widzę, muszę się jednak choć trochę odwrócić, bo widzę, że pocałunek gotów być całkiem zimny i sztywny ze względu na moją osobę, choć takie mam wrażenie, że czasu przedtem oboje nie marnowaliście.

Ojczy, mój ojczy — zawołała Marysia — zarzucając mu ręce na szyję i całując z wdzięcznością, a potem pociągnęła za rękę Draga i uklękła z nim przed ojcem prosząc o błogosławieństwo. Przeżegnał ich ze łzami w oczach. Ucałowali się wszyscy, jeszcze jeden ostatni jej pocałunek złożony na ustach Draga i drzwi się za nim zamknęły.

Wyszedł a za nim popłynęły modły i życzenia przetrwania wojny, zdobycia niepodległości i wesołego powrotu do czekającego nań szczęścia.

Gazda nie mógł się już doczekać na kaprala. Wyjechali z miasteczka ostatni. Aby na wszelki wypadek mieć jakie usprawiedliwienie późnego powrotu, Drag podwinął sobie głowę chustką. Miało to znaczyć, że bolały go uszy i że zabawili się u lekarza, czekając na przyjęcie.

Zmrok już zapadł, gdy znaleźli się za miasteczkiem.

— Ej panie, panie, niepokoił się gazda — abyśmy tylko szczęśliwie dojechali, żeby nas nikt po drodze nie spotkał, bo jak złapią w nocy to i żadne tłumaczenie nie pomoże. Przecie to wojna a raz się dostać w ręce Moskali, to już niewiadomo kiedy i czy wogóle człowiek do domu powróci. Austriacy też nielepsi, jak tylko są sami też rozstrzelują za byle co, nie pytając nawet wiele, choć to niby powinni być swoi. Niedługo trwa wojna a ile to już ludzi i cił tamci namarnowali! Żeby tylko nie spotkać kogo! —

— Nic nam nie będzie! — odburknął Drag — zły, że mu przerwano myśli i marzenia. —

Wieczór szybko zapadał. Zanosilo się na zadymkę śnieżną. Niedługo też otoczyła ich noc zupełna.

— Panie kapral — odezwał się znowu gazda — a czy wnet miniemy ostatnie placówki rosyjskie? Oj żeby się to już wydostać poza ich linje. —

— Tu linja nierówna — odpowiedział Drag. — Ich placówki w mieście i za miastem tośmy już właściwie minęli, bocz-

ne placówki są dalej wysunięte, na patrol jednakże możemy się jeszcze natknąć, bo i z miasteczka i z poszczególnych placówki patrole wychodzą, choć naprawdę rzadkie. —

Otulili się mocniej popędzając konia. Drag na wszelki wypadek przygotował sobie rewolwer. Trwożnie jęczał dzwonek przy małych, górskich saneczkach, jakby tłumiony brzemieniem, masami śniegu, powietrzem.

W małym lasku przydrożnym zatrzymało ich trzech kozaków czerkieskich bez koni, uzbrojonych w karabiny, w dużych, czarnych papachach i w futrach stroju czerkieskiego, z przyszytymi na piersiach ładownicami w formie pasów; za pasami skórzanymi zatknięte mieli kindżały czerkieskie. Szabel również nie mieli. Karabiny trzymali przygotowane do strzału, bagnety na karabinach.

Widać w tem miejscu niejeden wóz i niejednego gospodarza zatrzymali, ponieważ naokół była porozrzucana słoma i ślady chwilowego postoju kilkunastu sań.

— A wy skąd i dokąd jedziecie? — zapytali.

— Z jarmarku do domu. — odpowiedział gazda.

— A czemu tak późno? — Nie wiecie to, że nie wolno?

— Parobek mi chory i zabawili przez to chwilę u doktora. —

— A cóż jemu? —

— On wogóle jakiś niemrawy, tłumaczył dalej gazda. — Zawsze go głowa boli, a że już dość dawno narzeka na coraz większy ból, to i wziął ją jego do doktora, — niech poradzi. —

O to bogaty wy musicie być gospodarz, jeżeli was stać na doktorów i na parobka. —

— I, gdzie tam panie, biedy wielkiej nie ma, głodu jeszcze nie zaznali w domu, bo pracuję i staram się, ale bogaetwa też nie ma żadnego.

— Pokażno jakiegoś gościńca kupił żonie i dzieciom? —

— Gościńca żadnego, bo dziś za ciężkie czasy. Soli tylko kupilem do domu, bo już nic nie ma. —

— Pokażno, pokaż co masz w saniach. —

Gazda zszedł z sani, kozacy dokładnie zrewidowali wóz, ale oprócz soli, nic nie znaleźli.

— No, jak ty nic nie kupił — odezwał się jeden z nich — to pieniądze za to u ciebie muszą być! — Dajno te pieniądze, bo nam potrzebne, a nie, to kula w łeb! My was tu chamy nie będziemy za bezdurno bronili przed austriakami! —

Gazda widząc, że jest całkowicie zdany na ich łaskę, wyjął z zanadrza chusteczkę, rozwiązał supełek i oddał im wszystkie swoje pieniądze. Widząc, że pieniędzy, jest mało, jeden z kozaków **kazał** gazdzie zdjąć kozuch, mówiąc równocześnie do towarzyszy: —

— Hej Wańka, ty się zajmij parobkiem i przeszukaj no jemu dobrze kieszenie, ja już gazdę przepatrzę dokładnie, a ty Petro patrz i uważaj, czy nie nadjeżdża jaka patrol albo kto starszy od naszych —

Drugi kozak zbliżył się do Jurka, polecając mu lejece od konia przymocować na saniach. Kaprał udał, że nie słyszy, dopiero po otrzymanem uderzeniu koibą, zaczął wolno przywiązywać lejce, rozmyślając nad tem, w jakim dogodnym momencie strzelić do kozaka. Rewizja dla niego, była równoznaczna ze śmiercią, gdyż znalezienie rewolweru, byłoby zupełnie wystarczającym dowodem dla Moskali jego szpiegostwa, strzelać zaś prosto w pierś nie mógł, ponieważ bał się, czy kula rewolweru przebije gruby kozuch kozaka.

— Coś ty za długo bawisz się „swolocz” przekłeta! — zakrzyknął kozak. —

Jurek odwrócił się plecami do kozaka, ten oparł karabin o sanie przystąpił, do niego rozpinając mu i szarpiąc kozuch na piersiach. Jurek rzucił okiem na gazdę.

Oprawca gazdy również był całkowicie pochłonięty rewizją i również bez karabinu, trzeci zaś kozak stał o kilkanaście kroków na drodze w kierunku miasteczka nasłuchując, czy kto nie idzie lub nie jedzie. W chwili gdy kozak nie mogąc rozpiąć kozucha, wydostał kindżał aby za jednym zamachem przeciąć kozuch, sycząc równocześnie przez zęby: „Wyjmij no ręce z kieszeni. Nie chcesz mi pomóc rozpiąć kozucha, to ja ci go zaraz rozepnę z ciałem odrazu!” — Jurek błyskawicznie wy dostał pistolet i nim nachylający się kozak zdążył go dotknąć kindżałem, strzelił mu prawie prosto w usta, kładąc go jednym strzałem trupem na miejscu. Spłoszony koń zerwał się i w pełnym galopie pocwałował ku domowi. Gazda nie w ciemie bity, momentalnie się zorientował, że strzał pochodził z ręki Jurka, uchwycił swojego oprawcę za gardło, podciął mu nogi i obaj zwalili się na ziemię, tarzając się po gościńcu, gdyż kozak pociągnął gazdę za sobą. Drugi strzał Jurka skierowany do stojącego kozaka, chybił. Tamtemodechwycił do oka karabin, lecz Jurek już leżał plackiem na ziemi przy szamoczących się. Do leżących kozak nie mógł strzelać bojąc się, aby nie trafić swojego kolegi. Gazdzie nie mógł Jurek domóc, ponieważ ten razem z kozakiem przewracał się po ziemi, a położenie jego tymczasem nie było bardzo wesołe. Podnieść się nie mógł w obawie przed strzałem nadbiegającego Petry, strzelać z pistoletu też nie chciał, wiedząc, że strzały te nie odniosą żadnego skutku, ukryć się nie mógł nigdzie, czekał więc tylko momentu, w którym kozak zbliży się do niego, zmieniając ciągle pozycję i podsuwając się stale ku szamoczącym się.

Kozak młodszy i silniejszy od gazdy wy dostał się na wierzch i przyduśił gazdę. Do uszu Jurka doszedł stłumiony jęk:

— „Panie Kapral ratunku” — Nie bacząc na nic, jednym skokiem siadł Jurek na plecach kozaka, przyłożył mu pistolet do skroni i wypalił i w tym samym niemal momencie zwinął się w kłębek, przesunął dołem pod lufą karabinu ostatniego kozaka, uchwycił oburącz za karabin, szarpnął, lecz kozak karabin trzymał silnie. Zaczęli się szamotać z kozakiem, przyczem Jurek zdając sobie sprawę z tego, że karabin naładowany i że za jednym pociągnięciem cyngla przez kozaka może zostać zabitym, całą siłę swej woli i energii zwrócił na to, aby wylotu lufy nie skierować do siebie. Kozak był silniejszy, lecz Jurkowi dodawała siłę nienawiść, gdyż w tym momencie zdawało mu się, że ten kozak uosobia wszystkich tych, którzy ongiś bezbronne tłumy tratowali w Warszawie, to znowu błyskawicą przeszedł mu przez myśl żal harcerki na wypadek jego śmierci za minionem szczęściem a wreszcie instynkt samozachowawczy i instynkt walki wziął w nim górę, czyniąc go czujnym i przygotowanym na każdy niemal ruch rozwścieżonego kozaka.

Kozak widząc trupy swoich kolegów waleczył z wściekłością o swoje życie i o łupy z rozboju dzisiejszego.

W chwili gdy kozak wyrwał karabin z rąk Jurka, ten ostatniem tchnieniem przytomności rzucił mu się pod nogi, przewracając go. Huknął strzał i kilkakrotnem echem odbił się wśród otaczających gór. Upadając kozak wypuścił z rąk karabin, lecz nim Jurek zdążył sięgnąć po niego kozak poderwał się i z kindzalem w rękę, jak burza zwałił się na Jurka. Choć Jurek uderzeniem głową w brzuch, przewrócił kozaka, ten jednak zdążył go zranić w bok kindzalem. Uchwycił Jurek dwoma rękami uzbrojoną dłoń Moskala, lecz w tej chwili puścił, ugryziony przez niego. Jeszcze się Jurek szamotał i bronił, lecz z rany choć niegłębokiej krew mu uchodziła, czuł, że słabnie i że coraz większą przewagę uzyskuje nad nim kozak. Drugie uderzenie kindzalem w bok obezwładniło go zupełnie, gdy w tem uczuł się zupełnie wolnym, coś ciepłego błuznęło mu na głowę.

Wstał a chwiejącego się ze zmęczenia podtrzymał gazda, który wydobywszy się tymczasem z pod przygniatającego go trupa kozaka, podniósł leżący karabin i jednym uderzeniem kolby roztrzaskał łeb już prawie zwycięskiego Petra.

— No, Chwała Bogu paniczu. — odezwał się gazda.

— Nic wam nie jest? — zapytał Jurek.

— Mnie nie, a wam? —

— Dwa razy żgnął mnie nożem i krew mi płynie. —

Gdzie pokażcie, ale prędzej, bo nam trzeba teraz w las, aby czemp prędzej z drogi.

Jeszcze w dodatku koń uciekł. —

Jurek siadł przy drodze, gazda zdarł z jednego kozaka koszulę, podarł ją i mocno ścisnął Jurkowi boki, aby krew nie uchodziła. Jurek miał rany z jednego i drugiego boku. Po zrobieniu tego prowizorycznego opatrunku, podnieśli z szosy dwa karabiny na wszelki wypadek i zabrali naboje. Jurek oprócz tego wziął kindżał, którym został ranny, a gazda swoje pieniądze i czempredzej ruszyli w drogę, skręcając odrazu w głąb lasku, w którym zostali napadnięci. Gazda sprawdził jeszcze, czy krew nie cieknie Jurkowi i nie pozostawia śladów za sobą. Jurka jako osłabionego puścił przodem wskazując którędy ma się posuwać a sam zacierał za sobą i za nim ślady, na wypadek gdyby echa strzałów doszły do miasteczka i Moskałe na skutek ich wysłali patrol do sprawdzenia, który to patrol mógłby się później zamienić w pościg. O zabłądzeniu nie było mowy, ponieważ gazda znał dobrze okolicę; bali się tylko obydwa o to, czy rany Jurka dalej nie krwawią pod szmatami, czy nie są głębokie i czy on na skutek spowodowanego nimi osłabienia, potrafi dojść przynajmniej do pierwszych polskich placówek.

Posuwali się cicho, przystając, ponieważ Jurek nie czuł się dobrze. Nie wiadomo, czy rany, czy poprzednie trudy, czy nadmierny wysiłek fizyczny i nerwowy w odbytych przed chwilą zapasach wpłynęły na jego osłabienie, dość, że czuł się coraz słabszy i z coraz większym trudem dźwigał zdobywczy karabin. Gazda tymczasem gdy pierwszy strach już przeszedł, gdy znowu poczuł się bezpieczny, zaczął dziękować Jurkowi za swoje wybawienie, dumny równocześnie z odniesionego przed chwilą zwycięstwa.

— Panie kapral — mówił — spóźniliśmy się z miasteczka, to prawda, ale może nawet i lepiej bo widać, że oni tam wszystkich grabili i okradali na szosie. Przy ludziach to nie wiadomo jakby było. Albo by pomogli, albo i nie. Ale żeście sprytny chłop, to sprytny. Dwóch tak rozłożyć i jeszcze z trzecim się wadzić, no, no, ażebyście się o jedną chwilę spóźnili z tym drugim strzałem, już byłoby po mnie, bo już mi nóż przytknął ten wisielec do gardła.

— Ale, ale, że was nie przebił to i tak cud boski. —

— Nie mógł panie, bo jakeście skoczyli na niego, to odjął mi nóż, widocznie chciał was pchnąć, ale już nie zdążył. —

— Ja myślałem, że już zapóźno, że już wam kindżał wsadził w gardło, a zresztą nie miałem czasu, bo ten trzeci dochodził do mnie. —

— Strasznie byłem osłabiony, ruszyć się z początku nie mogłem a kozak był ciężki i gniótł mnie bardzo, pomalutką jednak wysunąłem się z pod niego i w sam czas, bo i z was za chwilę nieby już nie było. —

— Dziękuję wam gazda bardzo, ale czem ja się wam odwdzięczę?

— Odwdzięczyć się, aboście to wy mnie nie wyratowali? A zresztą powiem wam panie. Mój chłopak, też taki wielki jak pan i musi w jednym z panem wieku. jest w Legjonach.

Tylko on w Królestwie, z tamtymi poszedł. Czego was tak rozdzielili, ja nie wiem, ani wy też chyba nie wiecie. Poszedł, nawet się nie zapytał i nie powiedział: „Ojcze, ja strzelec jestem, idę się bić o Polskę, przeżegnajcie mnie na drogę. Com miał robić, tak go widać w szkołach nauczyli. A teraz miał iść na uniwersytet. Cieszyłem się, że może niedługo innym dzieciom pomoże, bo jeszcze dwoje się uczy. Ale cóż robić? Bez to, to ja się do was zgłosił, bo tak se myślę: „Przecie na żołnierza mnie nie wezmą, bom słaby jest i sterany, zresztą jest o kim w chałupie jeszcze myśleć i na kogo pracować,“ więc aby się przysłużyć, to ja poszedł. Jak mój Jędrak co daj Boże wróci, to zawsze mu milej będzie, gdy się dowie że ja tu też z założonemi rękami nie siedziałem, a jak co nie daj Boże ranny. lub może zabity, to choć w ten sposób zemszczę się na tych psierkwiach Moskalach. —

Za całą odpowiedź Jurek uściśnął mu rękę gorąco, zotoczył się jednak przy tem. Gazda nie mówiąc odebrał mu karabin i silnie podparł swoim ramieniem. Idąc, nie oddalali się zbyt od gościncea, bo tędy jednak droga była najbliższa. Jurek szedł coraz ciężej i z coraz większym trudem. Nagle gazda zatrzymał go, mówiąc: Czekajcie no panie. Siednijcie se tu trochę a ja pójde zobaczyć czego się te krzaki przy drodze ruszają? Coś tam musi być Jurek został sam, gazda zaś z karabinem w ręce podsuwał się powoli, ku zauważonemu przez niego punktowi.

— O Loboga. Loboga dobiegł do Jurka uradowany głos gazdy. A dyć mój kuń tu stoi panie. Zboczył psiawłara z drogi zaplątał się w krzaki i ani ruszyć się tera bestja nie może. Poczekajcie zaraz go odplączę. —

Jurek dowlókl się sam do sani. Gazda odplątał konia, wyprowadził na drogę, odpiął mu dzwonek, ulokował jak mógł najwygodniej Jurka, otulił go kożuchem i sianem, aby nie zmarł po drodze i czempredzej ruszył ucieszony do domu. Koń zmarznięty i wygłodniały biegł ile mu sił starczyło, tak, że już niedługo znaleźli się znowu we dwóch przed kwaterą dowódcy kompanji.

Kompanijny zaniepokojony strasznie wybiegł sam na ich spotkanie. Jurka trzeba było podprowadzić, gdyż sam iść nie mógł. Po wejściu na kwaterę kompanijny sądził, że obaj są ranni, ponieważ formalnie unurzani byli odbydwaj we krwi. Do Jurka wezwał w tej chwili sanitariusza.

Ponieważ Jurek nie mógł mówić, gazda opowiedział całe zajście, wychwalając odwagę i przytomność umysłu Jurka, lecz nie ruszył się z miejsca dopóki nie dowiedział się, że rany Jura są powierzchowne, lecz długie i dlatego mu dosyć dużo krwi upłynęło. Napił się rumu, za herbatę podziękował, spiesząc do domu, gdyż tam też byli o niego niespokojni, a na propozycję zapłaty odparł: „Wy sami przecież pieniędzy nie macie. Com zrobił i co robił będę, to dla Polski a nie za pieniądze, bo mój syn też jest razem z wami.” —

Kompanijny uściśnął mu rękę, dziękując gorąco w imieniu Polski. Opatrzonemu i umytego Jurka kazał kompanijny położyć na swoim łóżku. Napoili go rumem i gorącą herbatą a gdy dzięki temu przyszedł do siebie, kompanijny został z nim sam, ciekaw przywiezionych przez niego wiadomości.

Po zdaniu meldunku przez Jurka o wszystkim, odezwał się kompanijny:

— Dobrze, że się tylko na tem skończyło, ale drugi raz to was już nie poślę obywatelu. —

— Dlaczego? — zapytał Jurek.

— Bo jednak — ciągnął dalej kompanijny — niepotrzebnie się tam zasiedzieliście i przez to was po drodze napadli. —

— Obywatelu kompanijny — zameldował Jurek — to prawda, że z mojej winy wyjechaliśmy tak późno, ale ojca jej w domu nie zastałem, więc musiałem poczekać, a potem nie chcieli mnie puścić. Przy tem napotkaliśmy nie patrol, lecz zbójów, którzy widać wszystkich jadących okaradali, bo na miejscu były liczne ślady zatrzymywanych furmanek i dokonanego rabunku. I tak i tak byliby nas zatrzymali a przy świadkach byłoby może gorzej. A gdzie mój kindżał? —

— Jest, jest, obywatelu, leży na stole. Dlaczego się wam o niego rozchodzi?

— Tym kindżałem zostałem ranny a przy tem ona mnie prosiła, a właściwie mówiła, że chciałaby mieć kindżał. —

— Więc dla jej kindżału wywołaliście to może? —

— Nie obywatelu kompanijny. Nie chciałem, kindżał myślałem zdobyć w inny sposób, nie sądziłem, że się tak prędko okazja nadarzy. Opowiem wam wszystko obywatelu kompanijny, bo mam i przy tem prośbę. Gdy już załatwiłem wszystko o Moskalach, powiedziałem jej ojcu o wszystkim, to znaczy, że ją kocham, a on nie miał przeciw temu, jeszcze mówił, że rad jest, że się tu gdy ona przyjdzie będzie miał nią kto zaopiekować, bo ona jednak gdy będzie coś ważnego nadal do nas chodzić będzie, a ja też przecież ani mogę, ani też chcę wystąpić z Legjonów. Dlatego bardzo was proszę obywatelu kompanijny, weźcie ten kindżał do siebie i gdybym ja zginął oddajcie jej go z tą moją krwią na pamiątkę. —

— Dobrze, to wam zrobić mogę, choć nie wiadomo komu śmierć pierwszej pisana. Zostawcie przy nim kartkę komu ten kindżał doręczyć należy, to ktoś go zawsze doręczy, gdyby mnie nie stało, tylko jedno wam muszę powiedzieć nie szafujcie tak swoim życiem i zdrowiem, bo wiecie, że jesteśmy wszyscy na później potrzebni. —

— Na kiedy obywatelu kompanijny? Powiedźcie, bo i u mnie wszyscy w sekcji ciągle się o to pytają co będzie? A co będzie gdy Moskali pobijemy? Czy Austrija i Niemcy dadzą nam Polskę? My nic nie wiemy. Nasi obecni wyżsi dowódcy ci wszyscy z austriackiego wojska nie budzą jak wiecie wielkiego do siebie zaufania, gdyż znacie przecież tą piosenkę: „Bo my żołnierze to jak psy, bezdomni my włóczędzy, gnębi nas Moskal gryzą wszy, za Austrii skrawek nędzny.” Wyście byli przy Piłsudskim, niedługo to prawda ale zawsze, powiedźcie,“ —

— Cóż wam powiem obywatelu? I ja wiem tyle samo co wy. Byłem przy obywatelu Piłsudskim to prawda i od niego słyszałem, to co wam powiedziałem: „Chłopcy bijcie się dzielnie, wszyscy na was patrzą, bo wy tylko jesteście przedstawicielami wojska polskiego i dawnych, świetnych jego tradycji, ale pamiętajcie życia waszego i zdrowia nie bagatelizować, bo przyjdzie czas, kiedy jaknajwięcej będzie mi was potrzeba.“ —

Co On myślał Bóg jeden wie, co zamierza także nie wiem, lecz powiedźcie to, co wam mówię, waszym kolegom i podkomendnym, niech wierzą tak, jak i wszyscy, którzy go widzieli i słyszeli Jego słowa, bo tak jak wówczas kiedy nikt jeszcze o wojnie nie myślał, On już tworzył „Strzelca“ przygotowując nas do wojny dzisiejszej, tak samo i teraz On już widzi wprzód. Nie darmo nas wyprowadził w bój, On, który nas kocha więcej niż niejeden ojciec swoje własne dzieci i zobaczycie, kto dożyje, że pomimo wszystko, On nas doprowadzi do wolnej i niepodległej Polski. To możecie powtórzyć swoim kolegom, ale i to, że On wymaga od nas pracy z całym poświęceniem i z całym zaparciem się siebie dla wolności Polski i przyszłych naszych pokoleń. —

Kapral Drag chciał dziękować, lecz kompanijny uściśnął mu głowę całując go jak syna w czoło i pożegnał słowami:

— Leżcie teraz i odpoczywajcie, bo się wam obecnie słuszenie odpoczynek należy, przyjdźcie do zdrowia i sił jaknajprędziej, bo wiecie, że jesteście mi do służby bardzo potrzebni a gdyby wam kiedy znowu ciężko było na duszy, lub zwątpienie się do was zakradło, przyjdźcie do mnie na pogawędkę a gdy mnie zbraknie, pamiętajcie, że każda nasza kropla krwi i potu przyniesie plon stokrotny w wolnej i niepodległej Polsce, którą wywalczyć musimy! — to mówiąc wyszedł a Drag zasnął snem kamiennym po pełnym szczęścia i tylu przeżyć, dniu.

Hanka.

Miała lat 17. Szczupła, średniego wzrostu, ładna blondynka. Oczy miała niebieskie i w nich jakiś dziwny ogień. Z tych oczu dużych i jasnych biła siła i moc, niepokonany hart ducha i święty płomień zapału. Oczy uduchowione miłością piękną i wolności.

Była harcerką.

Gdy wybuchła wojna, zgłosiła się we Lwowie do Legionów. Wszystko jedno jej było do jakiej służby. Nie przyjęli jej.

Zrozpaczona odeszła. Tak marzyła o walce, o bojach, lub chociaż o niesieniu pomocy rannym legionistom, lecz odrazu zdarto jej wszystkie marzenia ostrem i krótkim powiedzeniem: „Za watała“, kobiet coprawda wówczas nie przyjmowano.

Przeboleła rozwiązanie Legionu Wschodniego. duszą całą brała udział w tworzeniu zaczątków przyszłej armii polskiej. Wyjechała ze Lwowa do rodziny swej w okolice Nadwórnej i tam ją zastała inwazja wojsk rosyjskich.

Legjony znalazły się po drugiej stronie frontu. Ciągłe słyszała o nich, że staczają boje, że zwyciężają Moskali, to znowu, że cofają się po klęsce; chciała pomóc, chciała walczyć, być razem z nimi, całą siłą swego młodzieńczego zapału chciała służyć umiłowanej i wymarzonej Polsce, lecz nie mogła.

W głuchą ciemną noc, wśród nieustającego jęku gór, podających bez przerwy echo nieustannych wystrzałów armatnich wyszła z domu, kierując się ku Legionom. Nie szła z próżnemi rękoma. Zapamiętała dokładnie nazwy pułków, bataljonów, kompanji, dział i karabinów maszynowych, które miały znie-nacka napaść na oddziały II Brygady, dowiedziała się o całym planie, o drogach, któredy ma się posuwać oskrzydlenie, dowiedziała się jak są rozstawione oddziały polskie i w przebraniu chłopki, poszła.

Nie zastraszyły jej zaczepki Moskali, ni ich przymilne uśmiechy, gdy przechodziła przez miasteczko, ani też nie uległa się ich czujek patrzących ospale przed siebie, czy uwijających się patroli kozackich, omijając je niepostrzeżenie.

Owionęła ją pustka lasu cieniami koszmarnego. Nie oglądała się za siebie, bojąc się ujrzeć ścigające ją błyszczące ślepią, wałęsających się, lecz sytych już wilków. Serce waliło jej jak młotem, bała się, lecz nietyle o życie swoje młode ile o to czy trafi, czy dojdzie, czy nie stanie jej co na przeszkodzie i czy zdąży na czas zawiadomić i ocalić od śmierci tych, z którymi razem walczyć pragnęła.

Przemoknięta, zziębnięta, wyczerpana, ostatnim tchem doszła do pierwszych wedet II Brygady. — Przybyła na czas.

Z otwartemi przyjęli ją rękoma.

I odtąd wypełniły się jej marzenia, została wpisana na listę tajną, lecz najbardziej zaszczytną listę wywiadowców legjonowych.

Przechodziła stale. Coraz bardziej szczupła i wątła, niewiadomo skąd czerpała swe siły do długich marszów nocnych, przebijania się wśród zasp śnieżnych, olbrzymich zwałów drzewnych, jakim cudem wyczuwała ukryte pod śniegiem rozpadliny, głębokie zradliwe strumienie i jak pokonywała tysiączne przeszkody.

Omijała wszystko szczęśliwie, przychodziła do ena wyczerpana, a po spełnieniu zadania spała snem kamiennym, wypoczywając i nabierając sił do czekającej ją powrotnej drogi.

Las, góry i noce ciemne stały się jej domem. Zawsze szła sama, papierów ani też broni nie nosiła żadnej.

Usługi oddała nieocenione. Wesola była przytem. Uśmiechnięta, nigdy niestrudzona, uprzedzała zawsze na czas o mającym nastąpić napadzie, czy o siłach rosyjskich o ich posunięciach, manewrach, podstępach, uzbrojeniu i zamiarach.

Skąd czerpała swe wiadomości nie wiedział nikt.

Tylko z tych oczu siwych i jasnych, prawie dziecinnych, biła radość i zadowolenie ze swej pracy, biła niepojęta swoim ogromem miłość Polski i waleczących o nią Legionów. Śmiały się do nich jej oczy wpatrywały się z miłością w poszczególne twarze spotykanych legionistów jakby odgadnąć chciała, którego z nich i ilu swem poświęceniem i pracą nadludzką, zimnej wyrwała śmierci i ilu z nich zachowała do dalszych walk i zwycięstw w zapasach o zdobycie Niepodległości naszej.

Radość jej sił dodawała, pracowała niemal bez wytchnienia, nie ceniąc zupełnie swych zasług, gdy przed nią z podziwem, szacunkiem, miłością i bezgranicznem uznaniem chyliły się głowy dowódców. Dla siebie nie żądała nigdy nic, szczęśliwa, że jest także legionistką i świadoma ważności i wielkości pełnionego przez siebie zadania.

Radosną była jak ptaszkę, czystą, niewinną jak dziecko. Brud nie czepiał się jej zupełnie, umiłowana była przez wszystkich.

.....

Gdy raz przeziębiona i osłabiona gorączką, nie czuła się na siłach, aby przejść nocą przez lasy i góry, wybrała inną drogę; jadąc z targu z chłopem jakimś i żydem, została razem z nimi przytrzymana. Nie miała przy sobie zupełnie nic, coby

mogło rzucić na nią choćby cień winy. Lecz żyd i chłop byli winni. Co przy nich znaleziono nie wiedziała, dowiedziała się tylko, że sądzono ich razem przez sąd polowy operującej armji rosyjskiej, że obaj zostali skazani na śmierć i obaj powieszeni.

Od śmierci została uwolniona, lecz nie wypuszczono jej na wolność, bo już w miasteczku, w którem mieszkała, zwrócono uwagę na jej częstą nieobecność, a więc skazano ją i zesłano na Sybir.

Bolała nad tem i rozpaczała, że pracę jej przerwano, wtajemniczona drżała z obawy kto ją teraz zastąpi, czy znajdzie się ktoś, kto będzie mógł na czas zawsze ostrzec legjonistów. Nie bolała nad swojemi cierpieniami i karą, ponieważ zdawała sobie z tego sprawę, że wcześniej czy później nagrodą za jej pracę i trud będzie śmierć lub ciężkie więzienie.

Strzeżono jej pilnie i o ucieczce nie można było marzyć.

.....

Bez ubrania, bez pieniędzy, tak jak ją w drodze złapano, pognano ją etapem na Sybir, włącząc po wszystkich więzieniach przydrożnych, pędząc już w Rosji razem ze złodziejkami i morderczyniami.

Skazaną została na osiedlenie do jednej z wiosek nad Leną w Syberji.

W drodze zapadła na płuca. Klimat sybirski, ostra zima, niewygody, trudy i głód, podważyły jej wątłe zdrowie.

Z więzienia w Irkucku zwolniono ją za poręczeniem Komitetu Polskiego i dzięki jego staraniom, po to aby czas przed udaniem się w dalszą drogę mogła wykorzystać na leczenie, o ile ono jeszcze cokolwiek pomóc jej będzie mogło.

Coraz rzadziej podnosiła się z łózka. Nie narzekała nigdy, dumna, że mogiła jej stanie w pośród mogił tylu braci spoczywających na wszystkich cmentarzyskach sybirskich i tylko tęsknota za krajem dolegała jej bardzo.

Nieraz wieczorem, leżąc, głucha na wszelkie usiłujące ją pocieszyć i wzniecić iskrę nadziei tłumaczenia, narzekała tylko, że żał jej, że już nigdy nie zobaczy więcej polskich lasów i kniei, nie zobaczy swej rodziny i żał jej potrochu było również i tego, że mogiła jej nie stanie w równym szeregu z mogiłami legjonistów, odznaczona prostym krzyżem drewnianym z małą tabliczką blaszaną.

Tęskniła nie mogąc o bolach swoich i udręce, o pracy swojej porozmawiać z nikim, boć tajemnicą usta miała zamknięte, nie rozumieli jej ci, którzy razem z nią byli, nie mogli rozumieć nie wiedząc o niej nic, a ona mówić przecież nie mogła.

Wśród swoich obca, cicha, gasnęła pomalu, w wiecznej tęsknocie, zadumie, wyrwana siłą przemocy z szaleńczo umiłowanej pracy.

.....

Dwóch legionistów z II Brygady rannych i podniesionych przez Moskali z placu bitwy i przez nich wyleczonych, po ucieczce z obozów jeńców wojennych, jadąc z rozkazem jako kurjerzy P. O. W. zatrzymało się w Irkucku, nie mogąc chwilowo przejechać.

Spotkali ją. — Choć oni i ona ukrywali swą tajemnicę, choć z nazwiska i zawodu nikt nawet przypuścić by nie mógł, kim są oni lub ona, zdradziły ją oczy, a ona poznała w nich tych, z którymi walczyć pragnęła, za których dogorywało jej młode życie w ofierze.

— Obywatele! — krzyknęła przy pierwszym ich spotkaniu.

Nie zaparli się.

Nowe życie zdaje się w nią wstąpiło, poweselała, odżyła. Każdą wolną chwilę spędzali legioniści z nią razem i toczyli nieustanne rozmowy, wspomnienia i opowieści. We trójkę przeżywali znowu minione czasy zapasów bojowych, czasy głodu, nędzy i poniewierki, lecz umiłowane polotem marzeń o wolności, czynną walką i narażaniem życia za Polskę, zakutą jeszcze w kajdanach, lecz dźwigającą się mocą ich ramion, życia i krwi, do zmartwychwstania.

Choć opadała z każdym dniem coraz bardziej na siłach, chociaż gorączka nocami ją żarła, rozpromieniona była i wesola, innem życiem żyła, a oni tropieni i ścigani, niepewni każdego kroku, ani chwili nie mający spokojnej, tułający się nieraz w gluche sybirskie noce bez dachu nad głową, w ciągłej obawie aresztowania, potrafili zawsze znaleźć chwil wolnych parę, aby pogawędzić z nią, o czasach niedawnych, lecz jakże zdało się im, już odległych.

O chwilach obecnych i przyszłości nie mówili wcale, ze sobą.

Obaj zdawali sobie sprawę z tego, że ona tylko ich obecnością żyje, że to ją tylko trzyma przy życiu, że gdy przyjdzie chwila ich wyjazdu, zgaśnie tlejący jeszcze w niej ostatni płomyk życia, odrazu. Nie mogąc wyjechać, w ciągłej pogoni i pracy, nie ustający ani na chwilę w swych dążeniach, zawsze czujni, szamoczący się w coraz bardziej zacieśniającej się wokół nich sieci, nie mówili jej o swych bólach i cierpieniach, nie mówili nic o swoim wyjeździe, niepewni czy zamiast wolności nie czeka ich wkrótce więzienie.

W przyszłość bali się wszyscy patrzeć. Oni zaparli w pełnieniu swego obowiązku, a ona nie chciała o niej myśleć, gdyż przyszłość stawiała jej przed oczyma chorobę i beztrosną świadomość nieuniknionej śmierci.

Toczyli wiecznie żywe, wiecznie interesujące rozmowy, wspomnienia. Co raz przypominali sobie jakiś nowy szczegół, rozpoznawali drogi swoich przemarszów i patroli, nieraz łączące się z szlakami jej wędrówek nocnych.

Na dworze mróz 45 do 50 stopniowy, sybirski, groźny, mściwy, rozsadzający z hukiem rzeki, lodem ścinający wszelkie oznaki życia, straszny swoją ciszą i grozą, a oni przy lichej lampce naftowej siedzieli w długie zimowe wieczory przy jej łóżku, zajęci sobą, niepomni na rzeczywistość, pochłonięci wspomnieniami wspólnych przeżyć, umiłowaniem jednej idei, przeżywali stale dzieje własne Karpackiej Brygady.

.....

Wybuchła rewolucja. Jutrzenska wolności zaświtała uciemnionym przez Rosję narodom. Pękły okowy, rozluźniły się więzy, pierś swobodnym odetchnęła oddechem. W proch upadł znieprawdzony tron cara, rysować się zaczęły granitowe zdawało się spojenia państw innych zaborców. —

Szybko nadszedł czas odjazdu legionistów.

Służba zaszczytna lecz twarda, tembardziej twarda i bezwzględna im bardziej ukochana, kolegów zabitych żegna się ze łzami w oczach w przerwach bojowych i odpoczynkach. Nie wolno umilać chwil umierającym kosztem zwłoki lub niewykonania rozkazu. Krwawiło się obu młodzieńcom serce na myśl, że muszą ją tu zostawić, gasnącą, znowu samą, znowu opuszczoną, nie mającą się nawet przed kim uzalić, lub wypowiedzieć swojego życzenia przed śmiercią, lecz mus i obowiązek i walka na każdym kroku, nie mogą dopuścić do roztkliwień.

Rozumiała to dobrze i ona. Nieraz z łękiem utajonym wpatrywała się w ich oczy, czy nie wyczyta z nich tego, że zawiadomić ją przyszli o swoim odjeździe. Wiedziała, że jechać z nimi nie może, bo chodzić już nie mogła zupełnie. Nie mogła ich zatrzymywać a bała się strasznie tej chwili, w której znowu pozostanie samą, — bez nich braci i druhów serdecznych.

Wyczuła ich dzień odjazdu. Na równi z nimi cieszyła się wybuchem rewolucji, cieszyła się coraz bardziej ziszczającą się nadzieją Zmartwychwstania Polski a w głębi duszy bolała nad tem, że nie ujrzą już więcej jej oczy ani kraju naszego, ani powracających z bitwy, upojonych zwycięstwem, czarnych od wysiłku i zagrzebywania się w ziemi, krwawych od ran własnych, rycerzyków Polski:

Tłumiać niepokój i lęk, zapytała ich wprost: „Kiedy wyjeżdżacie?” —

— W nocy obywatelko! — padła twarda odpowiedź.

Z jękiem opadła na poduszki. Nie opanowała wybuchu tęsknoty. Za słabą już była.

— Zabierzcie mnie z sobą obywatele. Zabierzcie, ja tu nie chcę, nie mogę umrzeć. Niech przekłętą będzie ta ziemia sybirska, która tyle polskich istnień w siebie wchłonęła. Słuchajcie, — dajcie mi choć raz jeden jedyny zobaczyć ziemię polską, raz jeszcze jej powietrzem odetchnąć a potem niech zginę gdziekolwiek bądź, byle raz jeszcze jeden jedyny choć na chwilę, na jeden moment powrócić. Weźcie mnie z sobą. —

Atak kaszlu z krwotokiem przerwał jej prośby i płacz.

Rzucili się jej na ratunek. Gdy osłabiona przyszła nieco do siebie, zrezygnowana i opanowana była zupełnie. Leżała bledziusiańka na swoich poduszkach, bezsilne ręce drgały nerwowo na kołdrze, gdy mówiła szeptem prawie, osłabiona.

— Darujcie mej słabości. Ja tak strasznie tęsknię. Wy jedni wyrwani tak samo jak i ja znienacka w czasie najgorętszej pracy i największego jej umiłowania, rozumiecie mię dobrze, bo tęsknota nasza jest wspólną i jednaką. Szczęśliwi jesteście.

Choć droga przed wami ciężka i niepewna, lecz ruszacie znowu do pracy na przebój, w walkę. Ja wiem, że zostać muszę, wiem, że zatrzymywać mi was nie wolno, bo tam jesteście potrzebni, bo każdej chwili straconej szkoda. Gdybym ja była zdrowsza, ruszyłabym natychmiast z wami na wszelkie wasze trudy i przygody. A tak, pozostać tu muszę i tu zimna i obca ziemia sybirska zakryje mi moje oczy. —

Chciałam, prosiłam Boga aby mi zezwolił umrzeć przed waszym wyjazdem, byście wy mnie do grobu złożyli i choć cichutko zanucili nad moją mogiłą: „Spij kolego w zimnym grobie, niech się Polska przyśni tobie“, tak po naszemu, z tą nutą szczerego, bólu i żalu i żołnierskiej twardej doli, jak nie-raz nuciliście nad grobami kolegów naszych w Karpatach. Chciałam, abyście własnymi rękoma ustawili krzyż prosty, drewniany na mojej mogile i otrząsnęli się potem ze smutków i boleści wiedząc, że to co mnie dziś, was jutro spotkać może. Widać jednak, że i śmierć moja samotna, w ofierze potrzebna. Prosiłam was, bo w pierwszej chwili nie mogłam się opanować, bo bałam się przedtem myśleć o rozstaniu, lecz teraz już jestem spokojna. — Co wybyście przecież ze mną robili, gdy ja już najwyżej za kilka dni umrę. — Ciężki jest jednak los wygnania i zabójczy klimat rosyjski. — Jedną mam tylko do was prośbę. Zawieźcie do Polski moje ostatnie westchnienia a gdy spotkacie może kogo z mojej rodziny, kiedyś gdy dostaniecie się wreszcie do kraju, powiedźcie jej, powiedźcie matce

mojej o mojej śmierci, o tem, że umierałam wesoło, bo umierałam na służbie o wolność Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej. —

Ucałowali jej ręce i odeszli spiesząc się na najbliższy pociąg i całą siłą swej woli powstrzymując łkanie.

.....

Wyjechali, lecz długo jeszcze tulali się po Rosji. Przetrwali jeszcze niejedne przejścia i niemal załamania duchowe, więzienia rewolucyjne i bolszewickie, obozy austriackie, krwawe walki, zdrady i ucieczki, zanim dostali się do okupionej własną krwią i ofiarą Polski niepodległej, by znowu uchwycić za karabin i stanąć w pierwszych szeregach w obronie, wyrąbywaniu jej granic i spokoju przyszłych pokoleń, — a ona — zgasła cicho w kilka dni po ich wyjeździe, nie rozmawiając przez cały czas już z nikim prawie, pogrążona w swych myślach, marzeniach i modlitwach o szczęśliwy powrót wszystkich legionistów i o ostateczne zwycięstwo, a chwile jej ostatnie jakieś cudne osłodzić musiały widzenia, jakieś sny niepojęte a piękne, bo uśmiech anielski, przepiękny pozostał po śmierci na jej bladej twarzy, gdy ostatnie oddając tchnienie wymawiała: „Za Polskę Panie.“ —

.....

Pochowali ją na cmentarzu irkuckim, w ciemnej ponurej i obcej ziemi sybirskiej, w krainie wiecznych mrozów i smutku, zdala od kraju, dokąd nigdy nie zaleci ani wietrzyk z Polski płynący ani też żadna pieśń polska nigdy echem o jej grób się nie odbije.

Legła jednak wśród swoich, takich samych jak ona skazańców, pędzonych tu masami za to tylko, że wolność naszą całą duszą ukochali, że niedola naszej niewoli i kajdan, wniknęła w najgłębsze tajniki ich serc gorących, każąc im buntować się i walczyć. —

Nazwisko miała przybrane a i to zżarł czas, pozostawiając tylko małą bezimienną mogilkę polskiej bohaterki wolności.

Przedruk wzbroniony.
Druk. G. Rogowski Gniew

